3 1761 08822380 5

H. Sienkiewicz

PISMA

V

PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM V.

KRAKOW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

LP
S.5724
Sienkiewicz, Henryk

Pisma
Henryka Sienkiewicza

TOM V

LISTY Z PODRÓŻY.
SZKICE AMERYKAŃSKIE.

486079
17. 2. 49

WARSZAWA.
NAKŁAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
(DODATEK BEZPŁATNY)
1899

Дозволено Цензурою.
Варшава, 20 Октября 1898 г.

LISTY Z PODRÓŻY.

VII.

Szkice amerykańskie.

Nie chcę być niczem krępowany w przesyłaniu wam moich listów, ani czasem, ani porządkiem wrażeń. Pozwólcie mi być swobodnym; pozwólcie pisać mi o tem, o czem mi się podoba; przeskakiwać wypadki i zdarzenia, odłożyć np. opis mego pobytu w San Francisco, Sacramento lub nad rzeką Kosumnes, a skokiem prawdziwie fejletonowym zaprowadzić was o całe setki mil dalej, w miejsca, które zamieszkuję i zwiedzam obecnie.

Przedewszystkiem jednak muszę was uprzedzić, że mam trochę cygańską duszę i nigdzie nie mogę zagrzać długo miejsca. Nie uwierzycie, jak mi było dobrze w dolinie Anaheimskiej, w tym prawdziwym raju na ziemi, o którym śmiało można powiedzieć:

Czy znasz ten kraj,
Gdzie cytryna dojrzewa?

Istotnie cytryna tu dojrzewa, a oprócz cytryn, jak u nas lipy, tak tam każdy dom tuli się pod zielone warkocze drzew pieprzowych, tamarynd, palm, rycinusów, oleandrów, winogradów, fig i drzew gumowych. Ciemne bluszcze, o liściach wielkich, podobnych do klonowych, i inne pnące się rośliny, których nazw nie znam nawet, czepiają się tu każdego pnia, każdej gałęzi, każdej kraty w werendzie lub ścianie, tworząc nieprzebite festony i kopuły zieloności, pod któremi nawet w czasie godzin południowych panuje rzeźwy chłód. Nic milszego, niż siadłszy pod taką kopułą na biegunowem krześle, patrzeć z cienia na oświecone słońcem przestrzenie. Powietrze, przesycone zapachem heliotropów, lilii, róż, kwiatów pomarańczowych i różnych innych, które tylko w tym klimacie wzrastają i mnożą się, upaja prawie. Na kwiatach kołyszą się motyle; kiedy niekiedy zalatują kolibry, podobne do konika polnego o świetnych barwach, i zawisnąwszy koło kwiatu na drżących skrzydełkach, zanurzają kilkakrotnie w jego kielich swój długi, nakształt

igły, dziobek. Ptaszek ten ma wszystkie ruchy owadu: kręci się jak motyl, nie siada prawie nigdy, a skrzydełka jego skutkiem niezmiernie szybkich drgań, wydają szmer podobny do skrzydeł szarańczy. Jest to «baby» (bebe), czyli Beniaminek wszystkich ptaków, dlatego żaden z nich nie robi mu krzywdy, czyhają na niego tylko brzydkie pająki, ale bebe walczy z nimi mężnie i bardzo często je pokonywa. Ludzi nie więcej boi się niż każdy motyl, i kręci się często tuż nad ich głowami. Zresztą prowadzi sobie życie wesole: na liściu pomarańczowym ma swoje gniazdko, ma co jeść, pić; nie płaci żadnych podatków; jest bogaty, niezależny, rozpieszczony i szczęśliwy.

Prócz kolibrów, widzisz tu mnóstwo innych ptaków. Szary z żółtą piersią pszczołojad, wielki zawadyaka, patrzy tylko, czy niema blizko jakiego drozda lub błękitnika, żeby zaraz z nim zrobić awanturę. Ale oto mądry drozd, czyli tak zwany przedrzeźniacz, schował się dobrze w liście rycinusu, i z tej kryjówki drażni wszystkie stworzenia, naśladując ich głosy. Czasem zamiauczy jak kot, zaszczeka jak pies, czasem zakwacze jak żaba, to znów przyjdzie mu do głowy kaszlać, kichnąć lub roześmiać się, jak-

by miał pomieszanie zmysłów. Sam umie śpiewać, ladaco, prawie tak ładnie jak słowik, ale śpiewa tylko w nocy, w dzień zaś woli przedrzeźniać innych. Indyanie nazywają go za to: ptak-małpa, ale lubią go także wszyscy, ma bowiem niewyczerpany humor. Jest to sobie Gavroche ptaków.

Czarne małe szpaki, o szkarłatnych ramionach, napełniają powietrze zupełnie jakby dźwiękiem srebrnych dzwoneczków. W winogradzie smyrgają pstre przepiórki, między któremi samce mają rogi na głowie. Proszę zauważyć: samce tylko. Możnaby z tego wyprowadzić rozmaite złe wnioski o «konduicie» samiczek, które też wydają się płoche, zalotne i lekkomyślne. Jest to tem większą ich winą, że małżonkowie są o nie bardzo staranni. Gdy panie jedzą winogrona, panowie czuwają na straży; w razie zaś jeśli zbliża się jakiś kot, albo jaki literat warszawski, sławny zresztą pudlarz, zabłąkany aż w te strony, wykrzykują: «kot! kot!» i całe towarzystwo zmyka co sił na piechotę w pole między kaktusy, które jadowitymi swymi kolcami potrafią zatrzymać wszelką pogoń.

Ludzie tutejsi, z wyjątkiem owego literata, nie robią krzywdy ptakom, nawet bardzo smacz-

nym; owszem, kochają je i uważają za pożyteczne, ptaki te bowiem tępią wszelkiego rodzaju owady, których tu mnóstwo. Co się zaś tycze literata, i ten rzadko bywa sprawcą jakiego nieszczęścia, ale za to napędzi częstokroć takiego strachu, że niech Bóg broni, tembardziej, że nie wiedzieć, jak się go ustrzedz i gdzie jest, a gdzie go niema, — włóczy się bowiem po całych dniach po polach, winnicach, krzakach: słowem, gdzie go nie posiał, tam wzrasta.

Naokoło Anaheimu ciągną się przez całą dolinę, od gór aż do pasu stepowego, pola nieuprawne, bo jeszcze nie zajęte przez nikogo, porosłe tylko kaktusami. Kaktusy te tworzą ogromne kępy, wyspy i jak gdyby całe lasy. Dochodzą czasem do kilkunastu stóp wysokości, bo liść jeden wyrasta z drugiego dopóty, dopóki roślina nie ugnie się pod własnym ciężarem. Latem kwitnie to wszystko ślicznem purpurowem kwieciem, jesienią zaś wydaje owoce barwy sinej, pokryte drobnymi kolcami, parzącymi jak pokrzywa. słodkie i tak kształtem jak smakiem do fig podobne. Owóż w tych kaktusowych lasach żyją całe tysiące zajęcy, ziemnych wiewiórek, kujotów i borsuków. Cała ziemia tam podziurawiona jest jamami, w które

co krok zapada noga wędrowca. Wszystkich tych zwierząt jest nieprzebrane mnóstwo, zające jednak ludność jest najliczniejsza. Żadne prawo nie ogranicza wolności tępienia tych długouchów, szkody bowiem, jakie robią w polach, są ogromne. Niszczą plantacye wszelkiego zboża i kukurydzy, psują drzewka, ogryzając korę; pustoszą winnice, zjadając liście młodych szczepów; słowem, są plagą, która mimo wszelkich środków zaradczych, ciągle równie dotkliwie czuć się daje.

Dlatego też w Anaheimie, w Santa-Ana, w Orenge i innych osadach, co wieczór słychać nieustającą kanonadę. Wszyscy mężczyźni, wszystkie chłopaki od lat czternastu, wychodzą dzień w dzień na zające i zabijają je bez liku. W Santa-Ana, za mojej tam bytności, uczyniono na nie obławę i zabito ich w ciągu sześciu godzin przeszło siedmset; jednakże następnego dnia, gdym wyszedł na polowanie, nie wydało mi się, aby ich było mniej. Wszedłszy o zachodzie słońca między kaktusy, wszędzie naokoło można spostrzedz sterczące uszy, wytrzeszczone oczy i groźnie poruszające się wąsy. Zdarza się, że gdy strzelisz do jednego, z pod liści i kęp wypada naraz ze wszystkich stron kilkanaście,

a wtedy już strzelaj, ile dusza raczy, tembardziej, że po pięciu lub sześciu skokach, nie uciekają dalej, ale siadłszy na tylnych łapkach, strzygą uszami i rozglądają się wokoło. Nie potrzebuję dodawać, że strzelający po łacinie myśliwiec otwiera wówczas szeroko usta i sam nie wie co mu robić wypada.

Drugą taką samą plagę stanowią wiewiórki ziemne i tak zwane gofry. Pominąwszy, że wiercąc dziury w polach, utrudniają uprawę, niszczą przytem mnóstwo zboża. Raz zadałem sobie pracę rozkopania jamy gofra, która ciągnęła się kilkanaście łokci pod ziemią. Cóż tam za korytarze, składy żywności, piwnice! Odkopawszy tylko niektóre, znalazlem kilkanaście funtów rozmaitego zboża i korzonków; nie dokopałem się zaś ani do piątr dolnych, ani do końca podziemi. Zdawałoby się, że ród tych szkodników powinien wyginąć. Ludzie mordują ich bez miłosierdzia; żywią się nimi borsuki i kujoty, czyli wilczki stepowe, polują na nie orły i jastrzębie, pożerają je węże; jednakże wszędzie są ich nieprzeliczone masy.

Zapuszczając się w wycieczkach na kilkanaście mil angielskich od Anaheimu, spotykałem dość często, zwłaszcza za nadejściem nocy,

kujoty. Są to zwierzęta, zupełnie do naszych wilków podobne, tylko bez porównania mniejsze. Na ludzi nie rzucają się nigdy; są przytem bardzo lękliwe, tak, że w dzień nie pokazują się wcale. Nocą przebiegają między kaktusami, skomląc żałośnie i polując na zające. Zbliżają się także do mieszkań ludzkich, czyhając na owce, gęsi, kury i t. p. Oczywiście, jeśli uda im się napaść na owcę, którą pasterze zapomnieli zagnać do koralla, jest to bal dla nich wielki, ale mordują ją zawsze w kilku, jeden bowiem nie dałby sobie rady.

Koza jest dla nich zbyt waleczna. Potrząsnąwszy groźnie brodą i zniżywszy głowę, rusza śmiało rogami, choćby na trzech i czterech kujotów, którzy też wkrótce sromotnie tył podają. W okolicach bardziej zamieszkanych, gdzie mniej jest zajęcy, główne utrzymanie kujotów stanowi kradzież. Kradną co się zdarzy, jedzą bywiem wszystko. Jeden z naszych rodaków, stary miner i traper, osiadły w Kalifornii od lat przeszło trzydziestu, opowiadał mi, że raz w nocy w górach Sierra-Nevada, wyciągnęły mu worek z sucharami z pod głowy, skutkiem czego zaalarmował cały obóz, myślał bowiem, że to Indyanie zakradli się nocą do namiotów.

Postrzelony lub złapany we wnik, kujota daje tak dotkliwe dowody tchórzostwa, że niepodobna się prawie do niego zbliżyć; naciśnięty jednak przez psa, broni się rozpaczliwie, tak, że tylko chart umie rozciągnąć go na miejscu. Oswajać nie próbował ich nikt, może z powodu przykrego zapachu, jaki wydają, a może, że i z natury zbyt są dzikie.

Borsuk za to oswaja się z łatwością. Mówię to z doświadczenia, mam bowiem sam jednego, który ani pod względem oswojenia, ani pod względem pojętności niczem się od psa nie różni. Przechodząc raz szarą godziną przez zarośla, spostrzegłem go o kilkanaście kroków od jamy i zastąpiłem mu drogę. Zabawne to, pękate stworzenie samo nie wiedziało co zrobić; uciekać bowiem, z powodu nadzwyczaj krótkich nóg, nie może, w pobliżu nie było nigdzie drugiej jamy, grunt zaś latem zbyt jest zeschły, aby się mogło zaraz zakopać. Otóż, z pomocą sznurka i zdjętego surduta, udało mi się po długiej i walecznej ze strony biedaka obronie, schwytać go wreszcie i zaciągnąć do domu. Był to młody, roczny może samiec, pokryty pięknem futrem koloru szopów, z białym łyskiem na głowie i czarniawym pyszczkiem. Przez

parę dni siedział zwinięty w kłębek w moim pokoju, mrucząc groźnie, gdym się do niego zbliżał, jadł jednak, co mu było dać, gdy nikt na niego nie patrzał. W nocy robił wiele hałasu, biegając po pokoju i stukając olbrzymimi pazurami o podłogę, jakby obcasami. W kilka dni potem stracił już dzikość, a w tydzień może, gdym się do niego zbliżył, przewrócił się nagle na grzbiet, a machając nogami i warcząc, począł okazywać swoją radość. Zacząłem się z nim bawić: dałem mu rękę, on zaś udawał, że ją gryzie, zupełnie jak młody psiak.

Jest to stworzenie bardzo pojętne i łagodne, a przytem, jakkolwiek nie cierpi wody, bardzo czyste. Porządku i obyczajności uczy się tak łatwo, jak pies. Sypia zwinięty zupełnie w kłąb, tak, że nie widać mu głowy, a śpi tak mocno, iż mogę go taczać po pokoju. Skoro się rozbudzi, zwykłym sobie kołyszącym się chodem kłusuje zaraz do kąta i zwija się na nowo. Z powodu swej pękatości i swego niedołężnego chodu, ruchy ma ociężałe i śmieszne. Jest to skończony safanduła. Kiedy dostrzeże obcego psa, włazi natychmiast pod pierwszy lepszy sprzęt, ale wówczas biada psu, któryby chciał wleźć do jego kryjówki. Niezawodnie cofnie się z niej

pokaleczony i podrapany. W stanie dzikim, gdy psy opadną go z dala od jamy, przewraca się podobno na grzbiet, aby mieć wolne do obrony wszystkie cztery łapy, uzbrojone w straszliwe pazury. Ja jednak tego nie widziałem.

Ale borsuk ma jeszcze jedną szczególniejszą własność, która w tutejszych stronach zmienia się w nieoszacowany przymiot: oto nie szkodzi mu ukąszenie wężów, choćby najjadowitszych. Kiedy pies, ukąszony przez grzechotnika, kona w męczarniach po upływie kwadransa, borsuk, gdzie tylko spotka grzechotnika, natychmiast chrusta go z apetytem, nie dbając o ukąszenie.

Zresztą, jak przekonałem się na miejscu, opowiadania o jadowitości grzechotników nader są przesadzone. Myślę, że wschodnio-indyjski okularnik daleko jest jadowitszy. Naprzód grzechotnik, zwykle za obejrzeniem się człowieka, ucieka pośpiesznie, a powtóre słychać go z daleka — łatwo się więc uchronić. Widziałem kilku ludzi ukąszonych przez grzechotniki, którzy wyleczyli się dość łatwo. Doskonałym środkiem przeciwko jadowi jest amoniak; rana, zalana i wytarta natychmiast amoniakiem, goi się dość łatwo. Amerykanie jednak mają jeszcze inne lekarstwo, polegające na tem, że uką-

szony wypija natychmiast tyle wódki, ile się w niego zmieści. Ma to być niezawodny sposób... żeby wyleczywszy się z ukąszenia, dostać zapalenia kiszek i umrzeć. Jednakże wszyscy ukąszeni, których znałem, leczyli się wódką i żyją do tej pory.

Zresztą grzechotników wszędzie tu coraz mniej: którego dojrzy ludzkie oko, ginie jak amen w pacierzu. Pręt lub bat najlepszą jest na nie bronią, wąż bowiem uderzony przedmiotem giętkim, rozpada się w kawałki. Prócz ludzi, tępią je także borsuki i inne stworzenia. Polując w zaroślach między kaktusami, koło Anaheimu, częstokroć widywałem ptaki, wielkości małej kury, upierzone naprzemian srebrno i błękitnie, które za zbliżeniem się do nich, uciekały nadzwyczaj szybko piechotą. O ile moje wiadomości zoologiczne pozwalają mi wnioskować, są to po prostu srebrne bażanty, ale Amerykanie mówią, że te ptaki niedobre są do jedzenia — przypisują im natomiast bardzo szacowne własności. Opowiadają, że ptak taki, spotkawszy uśpionego węża, odłamuje kolczaste liście kaktusów i otacza go dokoła nieprzebytem kolem, wśród którego wąż, nie mogąc się z powodu kolców wydostać, umiera z głodu. Co do

mnie, nie widziałem tego nigdy i całe to opowiadanie uważam za wierutną bajkę, którą wymyśliły chyba same ptaki dla uchronienia się od strzałów. Jakoż Amerykanie nie strzelają do nich nigdy i gniewali się na mnie, gdym jednego z nich postrzelił.

Ptaszyska te mają głos podobny trochę do naszych pawi i krzyczą po całych dniach w zaroślach i między kaktusami; jedzą zaś, jak sam to widziałem, nie żadne węże, ale owoce kaktusów.

Ale w błogosławionej Anaheimskiej dolinie niema już grzechotników; jedynymi gadami są tu piękne bogate jaszczurki, należące do rodziny salamander, które nic nikomu tu złego nie robią i które nieraz brałem w rękę. Niema tu również ani niedźwiedzi, ani pum, ani jaguarów, ani wielkich niebezpiecznych kotów dzikich, ani wreszcie nawet muskitów, tej plagi stron południowych. Są tu tylko palmy, migdały, pomarańcze i barwiste ptaki, i powietrzne kwiaty: motyle, i wieczna wiosna: uśmiechnięte bezchmurne dni i księżycowe noce, podczas których przedrzeźniacz śpiewa jak słowik, kołysząc się na gałązkach tamaryndy.

Najniebezpieczniejszemi istotami dla młodych

myśliwców są tam chyba *sinoritas* hiszpańskie, odbijające się biało na ciemnem tle palm, jak zaziemskie zjawiska. Ale to jest niebezpieczeństwo, od którego się nie ucieka, ale na które idzie się naoślep, coś niby jak ćma na świecę. Owóż widzicie, że mi tam mogło być dobrze i było dobrze. Dla ludzi pozytywnych dodam, że tam brzoskwinie dochodzą takiej wielkości, iż jednej dwiema dłońmi nie obejmiesz, winogrona jak w ziemi Chananejskiej; a kto chce kupić mniej niż sto funtów, temu powiedzą, żeby sobie poszedł do winnicy i zjadł *darmo* tyle, ile mu się podoba. Jakże bo tu i sprzedawać, kiedy w czasie winobrania, sto funtów za dwadzieścia pięć centów się sprzedaje! Wobec mnóstwa dziczyzny — życie tanie; słowem zestarzeć się tu można, jak mówił ktoś o południowej Francyi, ale umrzeć niepodobna.

A jednak znudziła mnie sielanka, znudziły senority, znudził brak cieniów w obrazie, i pewnego pięknego poranku zabrałem mego psa, borsuka, młodego orła z przestrzelonem skrzydłem, słowem: całą moją menażeryę, i pojechałem do Anaheim-Landing nad brzegiem Spokojnego Oceanu.

Anaheim i Anaheim-Landing to jak niebo

i ziemia. Piętnaście mil oddziela te dwa miejsca, a jednak, gdym przybył do Landing, zdawało mi się, że zwiedzam te krainy, na których przedsionku Dante wyczytał: *Lasciate ogni speranza.* Grunt uroczej doliny Anaheimskiej, biegnąc ku morzu, zniża się coraz bardziej i staje się zapadłym. Roślinność ginie stopniowo. Miejscami przeświecają żółte piaski, miejscami słone bagna, nad któremi unoszą się roje muskitów; gdzieindziej znów ujrzysz preryę, na której latem niema ani źdźbła trawki; ziemia wygląda jak popękane klepisko. Nigdzie ani jednego drzewa, a widok tej pustoszy tembardziej ściska za serce, że w rozpalonem powietrzu fata morgana łudzi ustawicznie wzrok najcudowniejszymi obrazami, które za zbliżeniem się nikną, jak sen.

Dojeżdżając do Landing, widzialem niby Neapol: ogromne cudne miasto, zatoczone półkolem nad szmaragdową zatoką, marmurowe pałace, wieże kościelne, grupy palm — w zatoce maszty i barwiste flagi, a wszystko to osnute błękitną, leciuchną mgłą, jak marzeniem. Lecz gdym dojechał na miejsce zjawiska, ujrzałem tylko wydmy piasczyste. Zjawiska takie, jedne piękniejsze od drugich, ciągle majaczą przed wędrowcem: jest to gra rozpalonego powietrza

i promieni słonecznych, padających na grunt, pokryty solą jak śniegiem. W rzeczywistości, całe pobrzeże jest pustynią i jedną z najposępniejszych pustyń, jakie kiedykolwiek w życiu widziałem. Spytacie się może: dlaczego więc pojechałem do Landing? — Oto Landing ma kąpiele morskie.

Nie myślcie jednak, żeby to była np. Ostenda z jej wspaniałymi hotelami, z kursalem, z casino, z dygą, z plażą, z orkiestrą pana Singelé, z parkiem ostryg, z siedmnastu tysiącami cudzoziemców, z pięknemi kobietami, ze strojami, modą, przepychem i tem życiem gwarnem, pysznem a wyzłoconem — wcale nie. Anaheim-Landing jest to osada rybacka, gdzie znajduje się sześć chat, jeden bar, jak tu mówią, czyli po naszemu szynk, i oto wszystko.

Mieszkałem u właściciela tego szynku, Imć pana Neblunga, a sypiałem z nim razem w jednej izbie, do szynku przyległej. W szynku po całych dniach rybacy grali w karty, a do uszu moich, podczas gdym pisał, dochodziły ciągle gniewliwe ich głosy: *Goddam you! goddam!* I nic więcej nie słyszałem, tylko owo *Goddam,* oznaczające zły humor gracza, któremu nie idzie karta. Na drugi dzień pokazało się, że w Lan-

ding nie bardzo jest co jeść. Rano pijaliśmy czarną kawę, bo nie było mleka, i jedliśmy morskie ryby, na obiad ryby i na wieczerzę ryby. Wykwintna to zapewne potrawa owe *turbot*, flądry i t. p., ale gdy się to jada trzy razy na dzień przez parę tygodni, w końcu człowiek dochodzi do tego, że wolałby kawałek wołowiny. Brakło mi także towarzystwa, bo owi rybacy, jakkolwiek każdy z nich, pojedyńczo wzięty, tytułuje się «kaptem», byli to najprostsi ludzie, jakich widziałem w Ameryce. Co to mi za kapitan, który na ręku i na piersiach jest, według zwyczaju amerykańskich majtków, tatuowany błękitną i czerwoną farbą, w kotwicę i w rozmaite napisy! Jedynym nietatuowanym człowiekiem z mężczyzn w Landing był mój gospodarz, Max Neblung, osobistość ciekawa ze wszech miar i warta opisu. Jest to Niemiec, który przez całe życie włóczył się po całym świecie. Ma dosyć wykształcenia, jest wielki frant i mówi mieszaniną wszystkich europejskich języków. Niema kąta na świecie, gdzieby nie był. W Pekinie spędził cztery lata: utrzymuje, że należał do poselstwa; zdaje mi się jednak, że należał jako kucharz, posiada bowiem doskonale sztukę kulinarną. Potem był w Australii, gdzie ko-

pal złoto. W Brazylii polował na jaguary, w Gwinei w Afryce na goryle; kłamie, jakby za to pobierał honoraria od wiersza. Jest zawołany próżniak; po całych dniach leży na siennik u i czytuje romanse, a rybacy tymczasem piją ile chcą jego piwa i płacą mu także ile chcą. Rozmaite jego wiadomości z dziedziny historyi, a nawet literatury, są istotnie zadziwiające. Raz rzekł do mnie:

— Sir! ja nazywam się Neblung, zatem pochodzę od Nibelungów.

Innym razem zdradził się ze znajomością Iliady. Ustępy Schillera i Goetego deklamuje na pamięć, a jednak czasem znów nie wie rzeczy najprostszych. Jest niezmiernie bezinteresowny, bardzo lekkomyślny i stale zakochany. Pierwszego dnia zaraz wyznał mi, że serce jego rozdarte jest na dwoje: między dwie siostry Hiszpanki, z których jedna nazywa się Ameryka, a druga Słońce (Sol). Siostry te przyjechały w tydzień później kąpać się do Landing, skutkiem czego Max stracił głowę zupełnie, wydał wszystkie pieniądze, jakie miał, na krawaty i pomadę, a potem piwo brał na kredyt z Anaheimu.

Tacy ludzie tylko w Ameryce mogą się zda-

rzyć. Max, jak ów Laufen w komedyi Lubowskiego, nie potrafi ani jednego zdarzenia sklecić w jednym języku, ale prawie zawsze pomiesza niemiecki, francuski, angielski, hiszpański, a czasem nawet i chiński. W Anaheimie wszyscy lubią go bardzo, kredytują mu chętnie, chociaż nie jest zbyt wypłatny, i zapraszają na wszystkie strony, skoro się tylko pokaże.

Mnie jednak nudził swoją gadatliwością i przeszkadzał mi często pisać, zadając ustawicznie, jak dziecko, rozmaite pytania. Gdym go prosił, żeby siedział cicho, kręcił się jakby uwiązany. Wówczas brałem strzelbę i wychodziłem nad brzegi.

Zwierzyny w Landing niema prawie żadnej. Nocami tylko, po księżycu, skomlą kujoty, ale w dzień siedzą pochowane. Ptactwa za to morskiego miliardy, wszystko to jednak nie zdało się na pokarm, trąci bowiem tranem i rybą. Mogę powiedzieć, że główne moje towarzystwo stanowiły pelikany. Potężne te ptaki nietylko nie boją się ludzi, lecz lubią ich i chętnie do nich się garną. Jest to wprawdzie miłość bez wzajemności, bo ludzie brzegowi w przeciwieństwie z fermerami tłuką je, gdzie mogą: strzelają do nich z rewolwerów, zabijają wiosłami

i tym podobnie. Pierwszego zaraz dnia, gdy wyszedłem na brzeg, zobaczyłem kilkanaście pelikanów, ważących się na ogromnych skrzydłach o kilkadziesiąt stóp nad moją głową. Mając przy sobie broń, strzeliłem; jeden ptak okręcił się natychmiast w powietrzu i spadł ciężko na piasek. Gdym się zbliżył do niego, już gasnął, ale podnosił jeszcze głowę, uzbrojoną potężnym dziobem i torbą, spoglądając na mnie jakby z wyrzutem.

— Przechodzisz do Nirwany, miły ptaku, — rzekłem do niego — i niepotrzebnie życia żałujesz: wszyscy się tam znajdziemy.

A mimo tej filozoficznej uwagi, było mi przykro, i doznawałem darwinistycznych wyrzutów sumienia, po zamordowaniu tego dziobiastego bliźniego. Odtąd też dałem pelikanom pokój i kupiłem nawet moim kapitanom piwa za obietnicę, że nie będą ich mordowali.

Czasem siadałem w małą łódź i płynąłem do poblizkich ławic piaszczystych, odległych zaledwie o kilkaset stóp od brzegu. Tam, siadłszy na piasku, wsłuchiwałem się w to życie ptasie, gwarne, wesołe i swobodne. Tysiące mew siedziały na jajach; inne, kwiląc, krążyły nad wodami; pelikany posiadały tuż koło mnie i po-

zakładawszy głowy na grzbiety, przypatrywały się filozoficznie wszystkiemu, jakby zastanawiając się nad porządkiem świata; wielkie kulony morskie brodziły po brzegach, i zmykając kłusem przed nadchodzącą falą, zdawały się znów ją gonić, gdy ustępowała na głębiny; wszystko jednak przedewszystkiem szukało żeru: jeść, podtrzymać życie; jeść i jeść: oto jedyna praca i jedyna troska bezwiedna tego świata. Gdy się w to wpatrzysz a wsłuchasz, wydaje ci się, że ta walka o istnienie, że ta staranność w podtrzymywaniu życia, ta dziwna energia, nie ma w sobie nic indywidualnego: że to objaw jakiejś ogólnej zasady, świadomej siebie, czy nieświadomej, ale stanowiącej istotę wszechżycia.

I znowu popadałem w ów panteizm, który tysiące lat temu śnił się już ludziom nad brzegami Gangesu, na górach Iranu i nad błękitnemi falami Archipelagu. Zdawało mi się, że ten świat ptaków, i moje żółte wyspy piaszczyste, i fale płynące z gwarem i łkaniem z niezmiernych przestrzeni, i wiatr, który porusza głupie tłuste roślinki, rosnące na słonym gruncie: że to wszystko ma tylko jedną wielką duszę, że to jeden wielki Zeus grecki, któremu

podobało się wziąć na się szatę, zwaną przez nas światem zjawisk.

Z marzeń podobnych budziłem się dopiero, gdy słońce kryło się już pod wodą, a na mrocznem wybrzeżu w Landing zapalono latarnię morską. Wsiadałem wówczas w łódź, i łagodny przypływ w cieśninie unosił mnie do drugiego brzegu. Potem, pogawędziwszy jeszcze z Maxem, szedłem spać, a raczej oddawałem się na pokarm muskitom. Nieraz zbudziwszy się w nocy, myślałem sobie: «Być może, że w mądrym wszechświecie mają i muskity swoje prawa bytu, gdybym ja jednakże był je stworzył, stworzyłbym je tak, żeby zjadały wyłącznie Maxa, nie mnie».

Świtaniem wstawałem do kąpieli. Nie myślcie, żeby tu kąpiel była równie spokojna i bezpieczna, jak nad brzegiem Bałtyku, albo morza Niemieckiego. Rekinów na całem pobrzeżu kalifornijskiem jest mnóstwo. Nieraz, popłynąwszy z rybakami na pełne morze, widziałem podnoszącą się z toni potężną, ostro zakończoną płetwę i czarniawy grzbiet jednego z tych potworów, które, zwłaszcza pod wieczór, lubią igrać na fali, to pokazując się, to niknąc naprzemian. Pierwszego dnia kąpałem się z nożem w ręku,

ale był to zbytek ostrożności, rekiny bowiem nigdy nie zbliżają się do brzegu z obawy, aby fale nie wyrzuciły ich na piasek. Dla kąpiących się bez porównania niebezpieczniejsze są inne stworzenia, zwane po angielsku: «steengris» (nie wiem, jak się pisze), a po polsku, zdaje mi się: raja. Jest to ryba płaska, okrągła, z wydłużonym ogonem, podobnym do ogona prosięcia. Owóż ogon ten jest opatrzony w kolec w kształcie szpady, po obu ostrych brzegach ząbkowany i nadzwyczaj śpiczasty. Ryba siedzi w piasku niedaleko brzegu, i gdy kąpiący się nastąpi na nią nogą, raja wbija mu kolec w piętę lub podeszwę. Rany takie goją się tak trudno i tak strasznie się jątrzą, że nadbrzeżni mieszkańcy więcej obawiają się ukłucia rai, niż ukąszenia grzechotnika, i poczytują ją za jadowitszą od wszystkich wężów. Nie jest to prawda. Raja nie jest jadowita, rany zaś zadane przez nią dlatego są niebezpieczne, że tak w podeszwie nogi, jak i w pięcie, schodzą się liczne sploty żył i nerwów. Gdyby przecie nie pięta, Achilles nie umarłby w kwiecie wieku.

Można się łatwo jednak od rai uchronić, robiąc hałas przy wejściu do wody. Co do mnie, widziałem ich kilka, ale nie ukłóła mnię żadna.

Widziałem jedną, schwytaną przez rybaków, która ważyła przeszło ośmdziesiąt funtów. Kolec jej, mający długości blizko dwa cale, zachowałem na pamiątkę.

Przy brzegach owych ław piaszczystych, o których wspomniałem, znajduje się także wiele strasznych polipów, zwanych w zoologii: cefalopedy. Jest to galaretowaty potwór, z dziobem papugi i długimi wąsami, z których pomocą chwyta i wysysa ryby, kraby, młode foki, a nawet, jak mówią, i ludzi. Wiktor Hugo opisał go w swoich «Pracownikach Morza». Najczęściej jednak spotykanem wielkiem stworzeniem wodnem na pobrzeżach kalifornijskich jest lew morski, zwierzę istotnie wspaniałe i ze wszech miar na nazwę lwa zasługujące. W San-Francisco jest dom, stojący tuż nad zatoką w północnej stronie miasta, zwany Clife-House, w pobliżu którego sterczy z morza kilka skał granitowych. Owóż na tych skałach można widzieć zawsze całe setki olbrzymich lwów, wygrzewających się na słońcu. Na galeryach domu, umyślnie na ten cel urządzonych, znajdziesz zawsze mnóstwo podróżników, przypatrujących się przez szkła teatralne tym potworom, których ponury ryk napełnia powietrze. Stare samce z pomocą

pletw wspinają się z szybkością na skały; częstokroć walczą z sobą, spychając się karkami z miejsc najlepiej słońcem ogrzanych; czasem znów rzucają się nagle do wody, która rozpryskuje się w tysiące kropel pod ciężarem ich cielsk olbrzymich. Samice są barwy ciemnej i o połowę mniejsze od samców; nie ryczą przytem, ale szczekają, zupełnie jak psy; ryku zaś samców nie powstydziłby się nawet żaden lew afrykański.

Zwierzę to jednak, mimo groźnych pozorów, mimo paszczy uzbrojonej w straszliwe kły, jest bardzo łagodne; nie napada nigdy na ludzi i broni się chyba przywiedzione do ostateczności. Jest przytem bardzo pojętne i oswaja się z łatwością, czego dowodem lew morski, znajdujący się w Wood-wards-Garden w San-Francisco, który na głos swego dozorcy, wynurza się z wody, włazi na skałę i chwyta w lot ryby, które dozorca mu rzuca. W Clife-House strzelanie do tych zwierząt jest zabronione, ale i gdzieindziej ludzie nie robią im krzywdy, ani bowiem mięso ich, ani skóra, nie na wiele są przydatne. Rekin rzuca się tylko na młode i na samice, gdyż stary samiec poszarpałby go swymi kłami na kawałki.

W Landing widziałem ich tylko kilka, ale strzelać nie mogłem, nie miałem bowiem ani kul, ani gwintowanej broni, z gładkiej zaś strzelby, śrótem lub loftkami, nic im zrobić nie można. Zresztą, mając nawet broń, nie chciałbym zawodzić ufności, z jaką zbliżają się do ludzi, ani zakłócać spokoju, w jakim żyją. Wolałem chodzić po brzegach i zbierać muszle lub piękne gwiazdy morskie, których tysiące każdy odpływ osadza na piasku.

Czasem po całych godzinach przypatrywałem się roślinom morskim, również przez fale wyrzucanym. Niektóre z nich mają tak dziwne kształty, że opisać ich nie podobna. Często, naprzykład, znajdowałem roślinę mającą kształt bomby, z której przeciwległych końców wychodzą dwa ramiona, podobne do kiszek kauczukowych. Jedno z tych ramion, krótsze i grubsze, dzieli się na kilka odnóg; drugie, mające kilkanaście stóp długości, zwęża się stopniowo i kończy się cienkimi wąsami, obejmującymi zawsze kamień. Jeden egzemplarz tej ciekawej rośliny zachowałem, ale zczerniał mi na słońcu, wysechł i zmienił się nie do poznania.

Lubiłem także przypatrywać się w czasie połowów rybom morskim. Nieraz zdawało mi

się, że ktoś wysilał fantazyę, aby je tworzyć najdziwaczniej. Niektóre z nich mają oba oczy z jednej strony; niektóre kształt kuli, pokrytej kolcami; inne znowu mają usta prawie w środku ciała. Majtkowie, przybywający z Południa, pokazywali mi zasuszone małe rybki, mające głowę i kark konia. Nazywają je też konikami morskimi. W cieśninach, między ławami piaszczystemi i przy ujściach rzek, żyje znów dziwna istota, zwana Bernard-Pustelnik [1]). Jest to rak, mający całe ciało pokryte skorupą, z wyjątkiem ogona, który, jako nagi i miękki, jest narażony na wszelkie wypadki i wszelkie zmienności losu. Ale mądry pan Bernard umie na to poradzić. Oto spotkawszy muszlę, wyjada ze środka ślimaka, w próżną zaś skorupę wsadza swoją słabą stronę, czyli ogon, który od tej pory ubezpieczony jest doskonale. Bernard nigdy już nie rozstaje się ze swoją skorupą i wlecze ją wszędzie za sobą, chociaż wogóle mało się porusza, ufny w to, że fale same przyniosą mu wszystko, czego do życia i pożywienia potrzebuje.

Mając wiele wolnego czasu, po całych dniach

[1]) Raków tych mnóstwo jest także w La Manche.

dopełniałem moje zoologiczne i botaniczne zbiory. Mam już tego pełny kufer, żałuję tylko, że niedostateczna znajomość nauk przyrodzonych nie pozwala mi ich uporządkować i pooznaczać odpowiedniemi nazwami. Ale cóż zrobić, kiedy nie umiem nic! Kto inny na mojem miejscu zebrałby tu prawdziwe skarby.

Po upływie tygodnia od chwili mego przyjazdu do Landing, przybyły wreszcie gorąco oczekiwane przez Maxa: senorita Ameryka i senorita Słońce. Max wynajął im domek rybacki, sam zaś pomadował się tak, że nie mogłem z nim wysiedzieć w jednym pokoju. Utrzymywał, że piękniejszych kobiet niema na świecie. Istotnie, tak regularnych rysów nie widziałem nigdy, ale też i takich piegów nie widziałem nigdy. Max zaręczał wprawdzie, słowem honoru, że w czasie pory dżdżystej to zejdzie, ale gdzie mnie tam było czekać pory dżdżystej! Zacząłem więc z coraz większą tęsknotą spoglądać na dalekie błękitne góry, rysujące się na wschodnim krańcu widnokręgu i zamykające ze wszystkich stron Anaheimską dolinę. Santa-Lucia, San-Bernardino, San-Jacinto! — same te nazwy miały dla mnie jakiś dziwny, pociągający urok; postanowiłem tedy skorzystać

z pierwszej lepszej okazyi, aby się tam dostać. Czasem, poźnym wieczorem, na górach tych połyskiwało coś, jakby łuna pożaru.

— Co to jest? — pytałem Maxa — czy to wschód księżyca?

— Nie — odpowiedział w niemiecko-francusko-angielsko-hiszpańskim języku: — to zapewne Indyanie zapalili lasy.

— A więc tam są Indyanie?

— O tak, pół-oswojeni Indyanie, a przytem lwy górskie, niedźwiedzie, jelenie i Bóg wie nie co!

Wówczas w księdze zamiarów zaginałem kartę, na której było napisane słowo: «Pojadę».

Odtąd Anaheim-Landing nudził mnie już coraz bardziej, ale zabijałem czas, pisząc i obmyślając plany rozmaitych utworów literackich. Wtedy to ukazał mi się w pierwszych zarysach i ów utwór [1]), który wam już przesłałem, a który może obudzić w swoim czasie choć słabe echo. Wieczorami pisywałem także dalszy ciąg: «Z życia i natury», «Hanię i Selima», ale to nie kleiło się bardzo. Wiecie, jak to czasem bywa: «Krzycz, wrzeszcz, jak czajka: nie przyj-

[1]) Szkice węglem. *(P. R.)*.

dzie bajka!» — mawiał nasz Jachowicz. Tak było i ze mną. Tamten pierwszy utwór pochłonął mnie tak dalece, że pisząc «Selima», myślałem o czem innem. Nie posądzajcie mnie jednak o próżniactwo. Listów moich macie dosyć, a przytem i z Selimem może niezadługo dopłynę do końca [1]).

Zabiera mi także niemało czasu uczenie się rozmaitych języków. Po angielsku umiem już nieźle się rozmówić. W Landing uprawiałem bardzo gorliwie hiszpański. W południowej Kalifornii bez hiszpańskiego ani rusz; zresztą skłoniły mnie do studyów nad nim znajomości z rozmaitemi sinoritami, z któremi chciałbym rozmawiać w ich ojczystym języku. Sinorita Ameryka i sinorita Słońce pomagały mi, ku wielkiej niespokojności Maxa, bardzo gorliwie, i dzięki im, robiłem rzeczywiście zadziwiające postępy; przytem Horain przysłał mi z San-Francisco doskonałe książki i francusko-hiszpański słownik: nie brakło mi więc niczego.

Nie brakło mi nawet ochoty, bo polubiłem ten najpiękniejszy ze wszystkich na świecie ję-

---

[1]) »Selim« w zupełności nadesłany już został Redakcyi. *(P. R.)*

zyk, w którym każde słowo dźwięczy jak srebro, każda litera drga własnem melodyjnem drganiem, tę męską, szlachetną a śpiewną mowę, która tak łatwo czepia się pamięci, jak magnes żelaza. Kto przeszedł i złamał wszystkie trudności angielszczyzny, nauczył się wykręcać językiem jak wrzecionem, wymawiać dźwięki pozbawione wszelkiej wyrazistości, temu, gdy weźmie się do hiszpańskiego, wydaje się, że z pośród cierni i głogów wszedł nagle do ogrodu pełnego kwiatów. Nie znam łatwiejszego języka pod względem wymawiania, niż hiszpański. Pamiętam, gdy pierwszy raz wziąłem książkę do ręki i otworzywszy ją trafiłem na frazes: *Examina, o mortal, tu corazon, ahi veras los motivos de tus aciones!* — co po francusku będzie: *Examine, o mortel, ton coeur, tu y verras les motifs de tes actions!* — wykrzyknąłem z radością: «Ależ ja umiem po hiszpańsku»! — prawie tak jak u Molière'a: «Ależ ja piszę prozę!» Rzeczywiście, kto zna łacinę i francuszczyznę, dla tego nauczenie się mowy Cervantesa jest kwestyą nie lat i miesięcy, ale tygodni.

Potrzeba mieć jednak do pomocy jaką sinoritę Amerykę, lub sinoritę Słońce. Zwracam uwagę pedagogów na tę nową metodę uczenia ję-

zyków, dodając przytem nawiasowo od siebie, że im sinorita będzie mniej piegowata, tem postępy wszelakiego ucznia będą szybsze i większe.

Prócz pisania i uczenia się po hiszpańsku, czytywałem także poważne książki angielskie; wpadł mi naprzykład w rękę przekład Lassala, z którego nauczyłem się wiele. Co czas jakiś, Horain z San-Francisco przesyłał mi naszą gazetę i «Tygodnik Illustrowany». Była to dla mnie zawsze prawdziwa uroczystość, ale czytując zwykle zbyt łapczywie, kończyłem za prędko, i potem sam sobie czyniłem gorzkie wyrzuty. Jak stary rumak bojowy, przywykły za młodu do trąbki, później, ilekroć dźwięki jej usłyszy, rozdyma nozdrza, jeży grzywę i oczyma iskrzy: tak i ja, rozczytując się to w polemikach, to w poruszanych kwestyach literackich, całą duszą wyrywałem się nieraz do Warszawy, między te stosunki literackie, walki prądów, myśli i osobistości nawet, słowem: w cały ów świat, gorączkowy trochę, ale żywy, żywotny, ateński i streszczający w sobie życie duchowe całego ogółu. Bywały chwile, w których myślałem, że mi to wszystko obrzydło, w których czułem się zmęczony i utęskniony

do natury, a oto jednak teraz znów dawny nałóg odzywał się z niepojętą siłą.

Chciałbym nieraz zabrać głos w tej lub owej kwestyi, rzucić swój grosz wdowi do tej lub owej skarbonki, skrzyżować szpady z tym lub owym przeciwnikiem, skrzesać ognia na rogach jakiegoś *pauvre diable boiteux*, poruszyć żółć temu lub owemu, szepnąć w ucho jakiemu śpiącemu komitetowi: «Zbudź się i chodź do piekła!» Ot! tęsknię czasem do tej smutnej roli Chochlika-felietonisty, którą odgrywałem, jakem umiał, przez parę lat, a którą tak się zmęczyłem, że ażem przyjechał tu odetchnąć — między kaguary, grzechotniki i niedźwiedzie.

Ale cóż, gdy pomyślę sobie, że nim głos mój was doleci, kwestye zestarzeją się, jak panny czekające próżno na mężów, i ludzie o nich zapomną — pióro wypada mi z ręki.

Z gazety i «Tygodnika» widzę jednak, że wydawnictwo postępuje u nas coraz bardziej. Nie wiem, czy to dlatego, że zgłodniałemu i chleb razowy smakuje, ale wszystkie artykuły wydają mi staranne a żywotne a wszechstronne, nasze zaś dzienniki o wiele wyższe od amerykańskich, które nie pozostawiając nic do życzenia pod względem informacyi, pozostawiają wiele

do życzenia pod względem literackim. Jak pięknie napisane jest np. w gazecie sprawozdanie komisyi konkursowej! U nas prasa nie zerwała jeszcze nici, łączącej ją z literaturą i artyzmem — tu jest tylko kunsztownem rzemiosłem i «businessem», potężnym i żywotnym wprawdzie, jak żaden inny, ale tak odległym od wszelkiego artyzmu, jak San-Francisco od Warszawy.

Co to za śliczny wiersz w Nr. 29 »Tygodnika», zatytułowany: «W Górach»! Zacząłem go czytać z lekceważeniem, jak wszystkie takie ulotne poezyjki, a skończyłem zachwycony:

»Otoczyły mnie wkoło moje równie senne
Pasmem jednakiem,
Ale ja sobie lecę w krainy odmienne:
Umiem być ptakiem«.

Cały ten tak poczynający się wstęp sam się śpiewa, jak jaki mazurek Szopena: ma własną dziwną nutę, w której słychać szmer świerków górskich, kosodrzewu — i odgłosy ligawek pastuszych. Jest tam echo zupełnie takie, jak w górach. Czytelnikowi chce się po przeczytaniu zawołać: hop! hoop! — i czekać bacznem uchem na echową ze skał odpowiedź. Dwa następne ustępy również piękne, ale nie stoją w związku ani

z pierwszym, ani z sobą. Trzeba je było zatytułować osobno. Pod wierszem znalazłem napis: «Marya Konopnicka». Nie znam tej poetki. Czy to czasem nie będzie ta panna, za którą sędziwy nasz Odyniec przyprawiał, zresztą niezasłużenie, w «Bibliotece Warszawskiej», z kwaśnym sosem Prusa? [1]). W każdym razie ta pani lub panna ma prawdziwy talent, który prześwieca przez wiersze, jak promienie świtu przez mgłę. Przypominam sobie, że mam trochę na sumieniu młodocianą muzę Eysmonta. Kulała zawsze biedaczka na jedną nogę, a ja nielitościwie starałem się jej przekręcić drugą, aby osiadła na murawie. Ale pomimo tego dosyć mi lekko na duszy. Niech to spadnie na mnie i na potomstwo moje aż do dziesiątego pokolenia... Jednakże myślę teraz, że sumienie me nie czułoby się równie spokojnem, gdybym podciął skrzydełka i tego górskiego słowika; dlatego też chwalę go otwarcie, wiem bowiem, że o ile nic tak nie szkodzi miernościom, jak pochwała, o tyle nic tak nie zachęca, nie podnieca i nie zagrzewa talentu, jak szczere pochwalne uznanie. Wiem, że piszę o stu przedmiotach naraz,

[1]) Nie ta sama. *(P. R.)*

ale to już przyzwyczajenie felietonisty. Nie wyrzucajcie więc powyższego ustępu — o mężowie redakcyjni! Przecie nasza miła opinia nie posądzi was, żeście posunęli w koperczaki do nieznanej poetki, tembardziej, że podpisuję pod listem moje nazwisko. *A propos* opinii publicznej: jakże się tam miewa w Warszawie ta stara wyróżowana zalotnica? Czy zawsze zamiast stać na straży czci i interesów ogółu, żyje tem, *co ząb jej uchwyci na pięcie* osobistości? czy zawsze ma tak długi język, że chcąc dostać się do jego końca, trzeba brać dorożkę? czy zawsze bawi się, bijąc po głowach strychulcem tych, którzy w jakikolwiek sposób wychylają je z filisterskiego korca? *Toujours comme cela?* W takim razie nic się nie zmieniło od mego wyjazdu. Ale dziękujmy bogom, że nie jest jeszcze gorzej. U nas przynajmniej prasa jeszcze czysta, a oto mam przed sobą dotykalne dowody, że o ścianę, nad Pełtwią, zalotnica rozsiadła się już i w pewnym organie, w którym przez licytacyę *in plus* ofiaruje swe zwiędłe wdzięki więcej dającemu. Dowodzi to jednak, że handel nie wyłącznie w rękach żydowskich znajduje się w tamtych stronach. O! byle handel szedł, wszystko

im tam łatwo sprzedać. Ale żyć w takiej handlowej krainie nie łatwo.

Dość o tem. Wracam do mojej podróży.

Owóż upłynęło mi jeszcze w Landing dni z dziesięć. Co wieczór na Santa-Lucia połyskiwały z daleka pożary lasów; codzień dym unosił się w powietrzu, nadając promieniom słonecznym przykrą rdzawą barwę, a ja z żalem myślałem, że nim tam pojadę, spłoną chyba wszystkie lasy i zostaną nagie tylko szczyty i skały.

Aż raz, pewnego poranku, rozbudził mnie jakiś szmer. Na świecie było jeszcze szaro, i w tem bladawem pół-świetle, pół-cieniu, ujrzałem Maxa stojącego na krześle ze sznurem w ręku i majstrującego coś około wielkich gwoździ wbitych w ścianę, na których wisiały meksykańskie kulbaki.

Myślałem, że może, nie zdoławszy się zdecydować, którą sinoritę więcej kocha: Amerykę czy Słońce, — Max umyślił się powiesić, więc nawpół przestraszony podniosłem się na łóżku i spytałem go: co robi?

— Jadę, sir, do Harrisona — odpowiedział. — Będzie już z rok, jak pożyczyłem mu sto talarów; jadę teraz odebrać.

— Gdzież mieszka ten Harrison? — spytałem niedbale.

— O! daleko: w górach.

— W górach?

Zerwałem się na równe nogi. Chwila oczekiwana nadeszła.

Max i tak musiał wziąć parę koni, bo miał przywieźć z gór klepek do beczek i kilka baryłek miodu; kulbak miał także kilka. Wszystko więc składało się jak najlepiej.

Zapaliłem świecę i począłem się pakować.

W pół godziny byłem gotów, a w godzinę później, kołysałem się już w lekkim galopie, na wysokiem meksykańskiem siodle. Obok nas biegły psy: mój i Maxa. Byliśmy obaj z Maxem uzbrojeni doskonale: rewolwery sterczały nam za pasem, a nadto każdy z nas miał nawinięte na kule kulbaki lasso, ową najgroźniejszą broń meksykańską, z którą Kalifornijczycy ruszają śmiało nawet na niedźwiedzia, a którą, mówiąc nawiasem, nie umiem władać. Gładka moja strzelba nie na wieleby się wprawdzie, w razie wypadku w górach, przydała, ale Max obiecał się wystarać dla mnie w Anaheimie o gwintowany karabin, sam zaś miał kentucki rajtel,

ważący z jakie czterdzieści funtów i niosący na pięćset kroków stożkową kulę.

Do Anaheimu przybyliśmy jeszcze bardzo rano, ale przegalopowawszy piętnaście mil, byłem tak zmęczony, że żadną miarą nie mogłem jechać jeszcze dwadzieścia pięć mil dalej. Bolała mnie każda kość, jakby obita. Max śmiał się, ale pomimo to zgodził się jednak nocować w Anaheimie, tembardziej, że miał tam także kilka interesów załatwić.

Wieczorem poszliśmy obaj na dziwne widowisko, jakie tylko w Ameryce może się trafić. Oto przyjechał do Anaheimu aktor, który ogłosił, że będzie uczył deklamacyi, wymowy, a przedewszystkiem pięknych gestów, i to po trzy talary miesięcznie. Zapisało się też zaraz kilkunastu amatorów. Wykłady odbywały się w szkole miejscowej przy świetle świec. Trafiliśmy na pierwszą lekcyę, a raczej na mówkę wstępną, którą mistrz rozpoczął mniej więcej w ten sposób:

«Dżentlemeni! Ameryka słynie z wymowy, niestety jednak, arystokratyczna Anglia słusznie częstokroć wyśmiewa się z tego, że naszym świetnym mówcom brak tej pięknej gestykulacyi, tych posągowych poruszeń, które samej

wymowie dodają jędrności, siły i są dla niej tem, czem takt w muzyce. W imię zatem patryotyzmu, w imię prawdziwej potrzeby, która w kraju parlamentarnym jest równie nieodbitą, jak każda inna — chcę was nauczyć, czego nie umiecie dotąd, chcę słowom waszym nadać moc piorunów, a gestom majestat posągów» i t. d.

Po takiej mowie, zresztą daleko dłuższej, rozpoczęła się właściwa nauka. Mówca przedewszystkiem oddeklamował kilka patetycznych ustępów z Szekspira, powiedział kilka wyjątków z mów, zdaje mi się, Blain'a, przyczem wyrzucał głową jak dziki koń, zawracał oczy, machał rękoma i wrzeszczał tak, że aż w uszach pękało. Oczywiście, słuchacze byli zachwyceni i oczarowani. Potem przyszła na nich kolej. Pokazawszy im kilka pozycyi nóg, od których nauki zaczynają u nas uczyć tańca, i kilka ruchów rąk, mówca ustawił ich pod ścianą, kazał patrzeć na siebie i rzekł:

— Teraz dżentlemeni, pozamykajcie przedewszystkiem gęby, a następnie powtarzajcie moje słowa i gesta!

I tu znowu wszyscy zaczęli wyginać się wspaniale w tył, wymachywać rękami, potrząsać czuprynami, zrobił się wrzask i rwetes, jak

na zarwanicy. Patrząc na maryonetkowe ruchy tych ludzi, pomyślałby kto, że dostali pomieszania zmysłów. Ale była to amerykańska nauka pięknych gestów. I któż się tego uczył: jak wam się zdaje? Oto woźnica omnibusu z Plantershotelu, zamiatacz numerów z tegoż zakładu; kilku starych i młodych rzemieślników, kilku właścicieli szynków — słowem, taka publiczność, z jakiej składa się prawie cała ludność Anaheimu. Im się to jednak może przydać. Kto wie: może dzisiejszy woźnica omnibusu będzie jeszcze prezydentem Stanów? Każdy tu nosi prezydenta w kieszeni, tak jak we Francyi każdy żołnierz marszałka.

Po skończonem widowisku, poszliśmy zaraz z Maxem spać, nazajutrz bowiem świtaniem mieliśmy wyruszyć dalej. Na szczęście jednak dla moich kości, zeszło nam jeszcze nazajutrz do południa, tak, że ruszyliśmy dopiero po drugiej. Droga szła kilkanaście mil równiną, ale okolica stawała się coraz pustsza; kaktusy tylko piętrzyły się po obu stronach drogi, dochodząc czasem wysokości dziesięciu stóp. Następnie, zaledwie co parę godzin spotykaliśmy jaką odludną fermę. Czasem trafialiśmy na mniejsze i większe oddziały pół-cywilizowanych Indyan,

dążących do Anaheimu na winobranie, przy którem znajdują obfity zarobek. Przywitawszy ich krótkiem: «halo!» galopowaliśmy w milczeniu dalej. Gdyśmy przybyli do podgórzy, wieczór zapadł już zupełny, ale na niebie świecił wielki złoty księżyc. Okolica poczynała się stawać lesistszą i coraz dziksżą. Tu już wcale prawie niema ludzi — a cisza panuje, jak pierwszego dnia po stworzeniu. Wielkie dęby tylko, rozrzucone w malowniczych grupach po pochyłościach, szumiały nad naszemi głowami; czasem zachrapały konie — czasem pies zawarczał i rzucił się nagle w bok drogi, a wówczas ściągaliśmy lejce, i kładąc ręce na rewolwery, oczekiwali co to będzie. W tej księżycowej nocy, w tej ciszy i wobec potężnej natury, czułem się szczęśliwy: jakbym miał skrzydła u ramion. Czar okolicy oddziałał i na Maxa. Zaczął jakąś piosenkę, ale urwał ją wkrótce i ucichł. Jechaliśmy w milczeniu, jakby rozmarzeni. Wkrótce podgórza zmieniły się w góry: naokoło nas ciągnęły się olbrzymie rozłogi kamienne. Złamy granitów, spiętrzone jedne na drugich, wydawały się przy świetle księżyca, jakby zamki, wieże i baszty. Woda licznych strumieni,

spadając z wysokości na kamień, dzwoniła metalicznym dźwiękiem.

Jest to niby kapela tych stron. To znów zmieniał się krajobraz: rozłogi zwężały się nagle w gardziele, zarosłe i na dnie i po brzegach dębami. Tam trzeba było jechać ostrożnie i czuj duch! w takich wąwozach bowiem lubią przesiadywać kaguary i wielkie koty dzikie, których chrapliwe głosy dochodziły niekiedy naszych uszu. Psy nasze wolały się trzymać bliżej koni; ale nie spotkawszy żadnego niebezpiecznego stworzenia, wyjechaliśmy szczęśliwie z wąwozów na płoniny, zrzadka tylko zarosłe dębami, na których zatem i widniej jest i bezpieczniej.

Około pierwszej po północy, ujrzeliśmy wreszcie bielejący w ciemnościach namiot drwala, a zarazem i pasiecznika, u którego mieliśmy się zatrzymać. Gdyśmy zajechali, psy miejscowe podniosły taki harmider, jakby je kto ze skóry obdzierał, gospodarz zaś wyszedł do nas, mając rewolwer za pasem.

— Halo! — odezwał się z ciemności mój towarzysz.

— A, to ty Max? — odparł gospodarz.

— Tak! to ja i drugi jeszcze dżentlemen.

— To dobrze; napalę zaraz ognia.

Od owej chwili aż do dziś dnia żyję w tej górskiej pustyni, która zamiast mnie nudzić, coraz bardziej przykuwa i zachwyca. Siedmdziesiąt mil aż do San-Diego, niema tu żywej duszy, a jednak nie brakło mi ani wypadków, ani wrażeń, które w następnym liście opiszę.

VIII.

Szkice amerykańskie.

I.

Góry Santa-Ana, z których przesyłam list obecny, stanowią południową część ogromnego pasma, ciągnącego się w rozproszonych rzutach i pod rozmaitemi nazwami, od Oregonu aż do południowej Kalifornii i meksykańskiej Sonory. Przybyłem tam z Anaheim Landing, wraz z gospodarzem moim Maksem Neblungiem. Przybyliśmy późną już nocą, ale noc ta pierwsza przepędzona w okolicy dzikiej i zupełnie bezludnej, zostawiła mi niezatarte wrażenie. W poprzednim liście wspomniałem już, że zatrzymaliśmy się u pewnego skwatera, którego odtąd stale będę nazywał Robinsonem, żyje bowiem zupełnie samotny, mieszkając pod namiotem, a za całe towarzystwo mając tylko psa i karabin. Nowy mój Robinson jest to gentlemen już nie młody,

lat około pięćdziesięciu, wyglądający zupełnie tak, że gdybym go spotkał w której z moich wycieczek, bez wahania chwyciłbym za rewolwer. Ubrany był we flanelową koszulę, w spodnie ze skóry daniela i w podarty meksykański kapelusz, którego wystrzępione kolisko zakrywało twarz zarosłą i groźną. Skoro Maks poznajomił nas wzajemnie, skwater uścisnął silnie moją rękę i, wyrzekłszy zwykłe «Halo!» — odszedł zaraz do wąwozu rozniecić ognisko i przygotować dla nas wieczerzę, my zaś z Maksem zajęliśmy się rozsiodłaniem naszych mustangów, które przywiązaliśmy na długich lasso do drzewa. Konie poczęły chrupać koniczynę, obficie rosnącą pod dębami, my zaś, zapaliwszy fajki, siedliśmy pod namiotem, czekając na wieczerzę.

Począłem przyglądać się okolicy. Czarne, spiętrzone masy gór otaczały naokół kotlinę, z której jedyne wyjście na północ i na południe stanowiło łożysko głębokiego, górskiego strumienia. Okolica wydała mi się nad wszelki wyraz dzika i ponura. Urwiska skalne zwieszały się nad kotliną w ogromnych, tytanicznych złomach, narzuconych jakoby z bezładną wściekłością jedne na drugie. Zdawało się, że lada chwila wszystko to porwie się i spadnie na dno doliny. Noc

jasna powiększała jeszcze dziką fantastyczność wszystkich kształtów. Promienie księżyca obrzucały srebrnym szlakiem brzegi skał, których czarne, nieruchome sylwety rysowały się na rozświetlonem tle z dziwnie twardą wyrazistością. Głosy nocne powiększały jeszcze posępny urok otoczenia. W rozpadlinach skał, pokrytych drzewami, beczały złowrogo i chrapliwie dzikie koty; czasem ozwał się puhacz, czasem zachrapały konie. Pies mój, nie przywykły do podobnych wzruszeń, podniósł pysk na księżyc i zaczął wyć; oswojony borsuk wdrapał się gwałtem, jakoby ze strachu, na moje kolana, ja zaś byłem upojony i prawie zupełnie szczęśliwy. Chociaż przegalopowałem około trzydziestu mil angielskich na niegodziwie noszącym mustangu, chociaż nie czułem w sobie żadnej kości, za nic nie poszedłbym za przykładem Maksa, który rozciągnąwszy przed namiotem kołdrę, położył się na niej i usnął. Odechciało mi się i spać i jeść, a natomiast rozmyślałem tylko, że najdawniejsze marzenia moje z lat dziecinnych zmieniły się w rzeczywistość.

Zawsze marzyłem o tem, abym kiedykolwiek w życiu mógł ujrzeć owe kraje bezludne jeszcze, w których potężne siły natury, niepohamowane

ręką ludzką i rozbujale, żyją jak chcą, tworzą co chcą i panują absolutnie. Spojrzeć twarzą w twarz, oczyma w oczy naturze zupełnie pierwotnej, wedrzeć się w głębie dziewiczych lasów i stepów, opisywanych przez Coopera, był to ideał szczęścia, do którego wzdychałem w ukryciu oddawna. Teraz miałem to wszystko przed oczyma. Pierwotna natura otaczała mnie zewsząd, ogarnęła całego, pochłonęła moje zmysły i umysł. Mogłem się w niej rozpuścić i zginąć, jak kropla marna deszczu w oceanie.

Dziś zdaje mi się, że podróż moja rozpoczęła się naprawdę dopiero od chwili, w której przybyłem w te góry; czyż bowiem można nazwać podróżą przebieganie mórz w pysznych okrętach, lub stepów w wygodnych wagonach Pulmana... — dalej zatrzymywanie się po hotelach, zwiedzanie miast i tym podobnie? Jakaż to rola takiego, ucywilizowanych stron, badacza-podróżnika? Wiozą go jak pierwszy lepszy kufer — ot i wszystko. Jedyną czynną rolą, jaka mu pozostaje, jest wydawanie pieniędzy. Ale w tych górach prawie bezludnych, a przynajmniej leżących po za cywilizacyą, rola podróżnego odmienna i bezwarunkowo czynna. Jedynym paszportem i biletem na podróż jest twój własny

karabin; jedynym sposobem przenoszenia się z miejsca na miejsce twoje własne nogi, lub nawpół dziki mustang, którego ile razy chcesz dosiąść, tyle razy musisz naprzód nawpół udusić w skrętach lasso; który nie zaniedbuje żadnej okoliczności, aby cię wierzgnąć, chwycić zębami, i który toczy przerażonem, krwawem okiem, skoro tylko do niego się zbliżysz.

Tu przytem za przewodnika służy ci twój własny instynkt, sypiasz pod gwiazdami w rozpadlinie skalnej, którą własnemi rękoma musisz poprzednio oczyścić ze skorpionów i wężów; grzejesz się, jeśli sam napalisz ogień; jesz, co sam upolujesz; jednem okiem śpisz, drugie gubisz w ciemnościach, badając niebezpieczne ich głębie; zrywasz się na lada szelest; chwytasz za karabin, gdy pies zawarczy i zjeży sierć na karku.

Krótko mówiąc, podróżujesz jak prawdziwy mężczyzna; wszystkie pierwiastki twej dzielności, nie zmarnowane życiem miejskiem, wchodzą w grę z niebezpieczeństwem. Wszystko, co się staje, staje się przez ciebie, dzięki twemu męstwu, energii i przezorności. Ani na chwilę nie możesz być biernym. A przytem jeszcze jedno: nietylko przypatrujesz się, ale odkrywasz.

Przyznacie mi, że jedynie taką podróż można nazwać podróżą prawdziwą, czynną i twórczą.

Całe dni i miesiące takich podróżniczych warunków miałem teraz przed sobą, ponieważ owe góry: Tamiscal, Santa-Ana i San-Bernardino, w które przedostałem się po wielu usiłowaniach, leżą po za ucywilizowanym kalifornijskim pasem. Ów pas ciągnie się z północy na południe, brzegiem morskim, od Oregonu aż do miasta San-Diego, leżącego prawie już na granicy między właściwą Kalifornią a tak zwaną Lower-Kalifornią, półwyspową i należącą do Meksyku. Na północy, zwłaszcza koło San-Francisco, ów szlak cywilizowany szeroki jest i obejmujący cały kraj od oceanu Spokojnego aż do grzbietów Sierra-Nevada, stanowiących granicę złotodajnej, ale posępnej i pustej Nevady. Kraj w tem miejscu dobrze jest zaludniony, nie gorzej nawet niż Królestwo Polskie. Śliczne doliny, leżące między pasmami gór środkowych, jako też i same góry, pokryte są siedliskami ludzkiemi. Gdym kilka miesięcy temu patrzał o wschodzie słońca ze szczytu Mount-Diablo na okolicę, leżącą u nóg moich — z różowej mgły porannej wynurzyła się z jednej strony szmaragdowa toń morska zatoki, z mnóstem masztów, żagli

i różnobarwnych chorągiewek; z drugiej cały kraj budzący się ze snu, ale tak wdzięczny, że chyba i szatan nie kusił piękniejszym ze szczytu urwiska Chrystusa. W zielonych dolinach błyszczały złote i srebrne taśmy wijących się strumieni, na dolinach miasta pełne wież, których iglice i gałki całował pierwszy promień wschodu; więc ogromne San-Francisco, mniejszy Oakland, Heywards, Benica, kalifornijski New-York, Brooklyn, San-Leandro, Sant-Mateo, Valleio, Martinez, San-Pablo, z drugiej zaś strony stołeczne Sacramento, oblane czerwonemi falami rzeki tegoż nazwiska.

Z samej już ilości wymienionych miast, leżących w promieniu oka naokolo Mount-Diablo, możecie miarkować, jak kraj obficie w tych miejscach jest zaludniony. Gdyby nie niebo dziwnie błękitne nad moją głową, gdyby nie zbyt ciepły oddech porannego wiatru, gdyby nie kolibry i wielkie złote motyle, wijące mi się nad głową, gdyby nakoniec nie Feb, zbyt palący i promienny, co wszystko już wpólzwrotnikową krainę wskazywało, mógłbym sądzić, że spoglądam np. z wieży św. Guduli na okolice Brukselli, tak kraj był uprawny, tak podobny do jednego ogromnego ogrodu i tak gęsto zasiedlony. Mię-

dzy miastami ferma bielała przy fermie; to znów młyny wodne, to wietrzne studnie, podobne do naszych wiatraków; to płóczkarnie złote, długie po kilka mil angielskich, a wszystko to utulone w zieleń mirtów, cyprysów i drzew gumowych, zatopione w zwojach bluszczów, lian, dzikiego wina, lub zdobne palmami, rozpościerającemi nad ludzkiem siedliskiem, nakształt opiekuńczych ramion, swoje szerokie liście.

Ale zstępując od San-Francisco ku południowi, aż do San-Diego, ten ucywilizowany, zaludniony i uprawny szlak zwęża się coraz bardziej. Przyczyną tego nie jest mniejsza urodzajność gleby, bo przeciwnie, brzeg morski, zamieszkany, mniej jest żyzny od pustych jeszcze canionów górskich; nie żyzności więc ziemi szuka ludność tutejsza, ale przedewszystkiem blizkości miast, zwłaszcza portowych, w których mogłaby znaleść łatwy zbyt owoców swojej pracy, i dlatego też kupi się głównie koło brzegów. Najważniejszą jednak przyczyną jest mała, na ogół wziąwszy, ludność Kalifornii. Na sześć tysięcy mil kwadratowych jest tylko siedmset tysięcy mieszkańców, wobec czego nie jest rzeczą ani nienaturalną, ani dziwną, że odleglejsze ziemie

choćby nad wszelki wyraz hojne i bujne, nie są jeszcze zajęte.

Gdy posuwając się od Anaheimu na wschód, w kierunku gór, koń twój przebiegnie szerokie i piaszczyste koryto rzeki Santa-Ana, wiedz o tem, że wyjechałeś już ze stron ucywilizowanych, w których ziemia jest rozdzielona i stanowiąca prywatną własność, w których społeczeństwo żyje pod prawem Stanów Zjednoczonych, stosunki są uregulowane, a własność ziemska oznaczona. Po prawej stronie tej rzeki zaczynają się ziemie rządowe, zrzadka zamieszkane przez skwaterów, lub Indyan, po większej części jeszcze nie zajęte i oczekujące pionierów. Jedynem prawem, zresztą z powodu uczciwości i oświaty skwaterów nigdy nie stosowanem, jest tu straszliwe prawo *lynch*, dające się chyba wyrazić w słowach: nie ząb za ząb, nie oko za oko, ale za wszelki zamach, tak przeciw osobie, jak przeciw własności, jedna tylko kara — powróz.

Ziemie te podzielone są na tak zwane klemy, czyli kwadratowe cząstki, zawierające 160 akrów. Właściwie jednak podział ten nie jest pomiarem, bo w oddalonych płoninach górskich nigdy jeszcze nie postała noga inżyniera, ale raczej prawem, dozwalającem każdemu Amerykaninowi,

lub kandydatowi na obywatela Stanów Zjednoczonych, brać wymienioną ilość ziemi na pożytkowanie, pod warunkiem zapłacenia rządowi w ciągu lat dziesięciu po półtora dolara za akr. Po upływie tego czasu, pożytkowanie, czyli tak zwany *usus*, zmienia się już w bezwarunkową własność, którą można sprzedać, darować, wydzierżawić, słowem: robić z nią co się podoba. Konieczność płacenia rządowi istnieje zresztą na papierze, w rzeczywistości bowiem, skwatera, który ziemię wolną zajął, obronił i zabudował, choćby grosza za nią nie zapłacił, żadne prawo wyrugować nie jest zdolne.

Wobec tak dogodnych warunków, wobec łatwości zajmowania ziemi, przy którem niemasz żadnych prawnych kłopotów, wobec wreszcie tego, że doliny owe i hale, pokryte po największej części odwiecznymi lasami dębów, platanów i laurów, bajecznej są prawie urodzajności — zdawałoby się, że ludność skwaterska powinna się roić i mrowić, a jednak tak nie jest. Mówiłem już o głównej przyczynie: ludzi niema! Zbiegłaby się zapewne liczna i gola, a niemająca nic do stracenia gawiedź emigrancka, ale na przeszkodzie temu stoją niezmierne odległości, dzielące Kalifornię od Stanów zachodnich, i prze-

dewszystkiem to, że podróż nad brzegi oceanu Spokojnego, już nie z Europy, ale z New-Yorku, Filadelfii, Waszyngtonu lub Bostonu, kosztuje więcej niż dwa klemy, za które, jak wspomnianiałem, płaci się przez lat dziesięć.

Co zaś do Amerykanów osiadłych w miastach, są to bez wyjątku tak zwani businessmeni, czyli ludzie, trudniący się przemysłowemi lub handlowemi sprawami, którzy w osiedlaniu się w górach i na pustkowiach żadnej nie widzą korzyści materyalnej; względy zaś poetyczne, jako to: malowniczość położeń, samotność, niezmącony spokój i życie na łonie natury, są to rzeczy, za które prawdziwy Yankes nie da i pięciu centymów. A przytem w te śliczne doliny górskie dróg niema.

Nazwa hiszpańska *canion* oznacza, ściśle mówiąc, wąwóz. Gdy taki wąwóz rozszerza się nagle lub stopniowo w ten sposób, że tworzy obszerną kotlinę, otoczoną naokoło amfiteatrem gór, wówczas daje dość miejsca pod gospodarstwo pastewne, pszczelnicze, a nawet rolne. Ale najczęściej takie polany leżą w głębi pasm, wejście zaś do nich stanowi jedynie koryto potoku. Jest to poprostu ogromna szpara, czyli jak nazywają na Ukrainie «jar», na którego dnie szumi po ka-

mieniach woda, boki zaś utworzone są ze skał wznoszących się czasem na dwieście i trzysta stóp prostopadle w górę. Nic posępniejszego, niż takie gardła potoków. Na dnie panuje wieczny mrok, szczyty bowiem skał, posiadające warstwę rodzajną, pokryte są drzewami, których konary częstokroć stykają się z sobą nad potokiem i przysłaniają oku wędrowca niebo. Miejscami dziki chmiel, dzikie wino, lub liany przerzucają się z brzegu na brzeg, łączą się, plączą, duszą wzajemnie w ramionach, tworząc festony zieloności tak grube, że światło dzienne zaledwie przez nie na dół dochodzi.

Podróżnemu często zdaje się, że posuwa się naprzód jakimś podziemnym korytarzem. Tam, gdzie przez szczelinę w górze można dojrzeć błękit niebieski, tam rozweselający ten widok zmącony jest łopotaniem skrzydeł sępów, kruków, orłów i posępnem ich krakaniem, przejmującem smutkiem i trwogą.

Z takich to rozpadlin wreszcie dolatują, po zachodzie słońca, owe złowrogie beczenia i ryki, których nieprzywykłe nerwy prawie wytrzymać nie mogą. Gdy słońce gaśnie na szczytach, wszelka dzicz górska schodzi pić wodę do potoku; więc naprzód jelenie, antylopy, dalej koziorożce z sier-

piastymi, prawie końca grzbietu sięgającymi rogami, i małe, biało nakrapiane kózki górskie. Za niemi dopiero ciągną drapieżcy tych gór: srebrny i czerwony kuguar przesuwa się cicho w mroku, niby jakiś szarawy wąż; z rozpadliny skalnej podnosi głowę ryś-ostrowidz i toczy ognistemi oczyma. Po drzewach skrada się plebs szarawych żbików, czasem znów zdala dojdzie odgłos spadających ze zrębu kamieni: — to posępny despota tych gór — szary niedźwiedź, wlokąc ociężałe kroki, idzie zanurzyć w strumieniu uznojone żarem dziennym cielsko.

Miejscami łożyska tak są zawalone większemi i mniejszemi bryłami kamieni, że nietylko już wozem, ale i konno niepodobna przez nie przejechać, tembardziej, że kamienie wiecznie pokryte są wilgotnym i oślizgłym mchem.

Zimą, w czasie pory dżdżystej i na wiosnę, podczas ogólnego wezbrania wód, strumienie owe zmieniają się w rwące potoki, i wówczas mieszkańcy canionów są zupełnie od reszty świata odcięci. Skutkiem tego w canionach trzeba żyć dziko; o wygodach ucywilizowanego życia marzyć nawet nie wolno.

Prócz tego, prawda: rozszerzenia się canionów czyli doliny, śliczne są i urodzajne; łatwo

je zająć, łatwo przyjść, wynaleźć kąt, w którym jeszcze człowieka może nigdy nie było, i powiedzieć sobie: to moje! Własności, jakby na bezludnej wyspie, nikt tu nie zaprzeczy; łatwo więc wziąć ziemię, ale żyć na niej nie łatwo. Skwater jest zwykle człowiek ubogi, pozbawiony żony, dzieci, więc samotny. Taki człowiek przychodzi w góry, wybiera canion, który mu się najlepiej podoba, i mówi sobie: «Tu osiędę». Ale żeby osiąść, potrzeba wybudować dom; skwater prócz siekiery, piły i świdra nie posiada zwykle innych narzędzi. Drzewa wprawdzie nie brak na chatę, ale jak tu się wziąć do niego, gdy canion szumi jedną puszczą stuletnich drzew, o pniach na kilka stóp średnicy i o szczytach zagubionych gdzieś w chmurach? Czarny, ogromny dąb wznosi się obok białokorego platanu, dalej dąb siwy, to znowu hicoro o słojach tak twardych, że siekiera odskakuje od nich, jak od kamienia, dalej laur, wszystko to zaś tak owinięte w wężowe sploty lian, tak powiązane z sobą, natłoczone, że puszcza zdaje się być jedną zbitą masą, w którą możesz niemal uderzać obuchem, jak w ścianę. Wyobraźmy sobie teraz, jakie trudy musi ponosić osadnik, ażeby oczyścić jakie takie miejsce na chatę i dziedziniec, pościnać

ogromne drzewa, uprzątnąć ich zawały. Dalej przy stawianiu chaty, co za olbrzymich sił potrzeba, aby, nie mając znikąd pomocy, zaciągnąć jednemu człowiekowi belkę na belkę, krokiew na krokiew, po cieńsze drzewa należy czasem chodzić milę lub dwie drogi i ciągnąć je następnie po niegodziwem łożysku strumienia, dźwigając przytem na plecach ciężki karabin, bez którego ruszyć się niepodobna, raz dla obrony, a powtóre dla upolowania czegoś na pożywienie. Widzimy z tego, że samo postawienie chaty przechodzi już prawie siły ludzkie; nikomu więc nie może się wydawać dziwnem, że skwaterów bardzo jest niewielu i że na życie takowe puszczają się albo tułacze cudzoziemcy, którzy, przybywszy bez znajomości języka i środków pieniężnych, a nie chcąc zgodzić się na jakąkolwiek zależność, nie mają nic innego do roboty; albo rozbitkowie z życia, ścigani prawem; albo nieszczęśliwi, szukający samotności; albo nakoniec natury wyjątkowo awanturnicze, które taką dziką niezawisłość cenią nad wszystkie skarby świata.

Ale jak pasterz brakuje owce i słabsze oddala ze stada, tak życie w podobnych warunkach brakuje skwaterów. Słabsze osobistości pa-

dają w nierównej walce: pospolicie też skwaterowie bywają ludźmi ogromnej siły i niepospolitego hartu ducha. Możnaby rzec, że cywilizacya wysyła swoich atletów, aby jej torowali drogę w puszczy. Powyższe jednak przymioty skwaterów, w terytoryach zamieszkanych przez dzikich Indyan, przeciwważone są przez wady, które czynią z tych przodowników postępu ludzi arcyniebezpiecznych. Krwawe zajścia z czerwonoskórymi i potrzeba używania co chwila noża lub rewolweru, rozwijają w nich dzikie namiętności i okrucieństwo, a przytem szorstkość posuniętą do grubijaństwa, z niepewności zaś jutra wyradza się lekkomyślność. Właściwie nawet mówiąc: skwater w New-Meksyku, Aryzony, Indian-Terytoryum nie jest osadnikiem, ale trzebicielem lasów. Zebrani w oddziały, po kilkudziesięciu ludzi wynoszące, skwaterowie tamtejsi wyszukują nietkniętych siekierą puszcz i nie dbając zresztą, czy one należą do Indyan, czy do rządu, czy nakoniec do prywatnych kompanii, wyrąbują je, ładują w postaci tratew i galarów na fale Red-River, Rio-Colorado, Rio-Grande i spławiają do miast najbliższych. Po sprzedaniu drzewa, skwater, czując kieszenie wyładowane złotemi dwudziestodola-

rówkami, oddaje się pijaństwu i absolutnemu próżniactwu w mieście lub najbliższej wencie dopóty, dopóki nie straci ostatniego centa, a potem dopiero, gdy już goły jak mysz kościelna, udaje się znów na pustynię.

Nie potrzebuję dodawać, że życie takie pełne jest często bardzo krwawych wypadków.

Pustynia nie jest tak bezludna, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. Prócz skwaterów, włóczą się po niej traperowie, to jest ludzie robiący sobie rzemiosło z polowania i awantur; wakerosi, to jest strażnicy stad lub karawan kupieckich; prości drapichróstowie, czasem górnicy, a nakoniec w peryodzie wędrówek bawołów większe i mniejsze oddziały Indyan, polujących na te zwierzęta, a gdzie się da i na skalpy.

Skwaterowie stykają się ustawicznie z tymi ludźmi. Czasem przyjaźnią się z nimi i piją w wentach, leżących na szlakach; czasem zasie, przy sangwinicznym temperamencie i pochopności do bójki stron obu, przychodzi do formalnych bitew, staczanych z indyjską przebiegłością, a z zawziętością średniowieczną. Przytem wogóle skwater, czując się silnym, wolnym jak ptak, słowem — królem pustyni, pogardza wszyst-

kimi innymi ludźmi i w zetknięciu się z nimi jest zawadyaką i brutalem, z którym niepodobna się nie pobić. Wyzywa wszystkich, nie boi się nikogo i niczego, drży tylko przed jedną na świecie istotą, przed tak zwanym: *uncle lynch*, «wujaszkiem lynch», jak powszechnie nazywają na pustyni straszne to prawo.

Sama nazwa: *uncle*, wujaszek, dowodzi, że skwaterowie uosobili owo pojęcie z humorem, ale w niemal tenże sam sposób, jak Hindusowie siłę niszczącą w postaci Szywy. Skwater, choćby najzuchwalszy, czuje, że *lynch*, jakby bóg jaki, jest od niego bezwzględnie silniejszy. Jakoż najstraszliwszy ten ze wszystkich wujaszków wujaszek jest zarazem i pobłażliwym i nieubłaganym. Pozwala on zabić skwaterowi każdego Indyanina na «polu wojennem»; pozwala zabić bezkarnie każdego w kłótni, przechodzącej w bitwę; pozwala zabić przez zemstę za brata, swata lub pobratymca, czyli brata ślubnego; pozwala uważać wszelki bezwzględnie las za dar Boży, z którego każdy równe ma prawo korzystać; pozwala wreszcie na osobistą swawolę: ale za wszelkie zdradliwe targnięcie się tak na osobę, jak i na własność, w widokach

osobistej korzyści, karze bezwzględnie śmiercią, często zbyt nawet okrutną.

Ale jakiekolwiek ono jest, to dzikie prawo, w każdym razie wypłynęło ono z poczucia solidarności między białymi ludźmi i z poczucia potrzeby sprawiedliwości, dwóch podstawowych warunków, na mocy których wszelkie społeczeństwo przechodzi ze stanu dzikiego do cywilizacyi. Wspomniałem już, że gdy ziemia pusta się zaludnia, a bardziej zawiłe stosunki wymagają bardziej zawiłych praw, tak karnych jak i cywilnych, lynch wnet ustępuje ogólnym kodeksom Stanów Zjednoczonych. Jednakże zdolność do samopomocy tak jest niejako amerykańskiemu ludowi wrodzona i tak wielka, że nawet w zupełnie już urządzonych państwach rząd i policya z trudnością wstrzymuje ludność od wymierzania w ważniejszych wypadkach samej sobie sprawiedliwości. Każdy obywatel jest tu tak przejęty zamiłowaniem dobra publicznego, że każdy osobiście za jego stróża, a zatem za sędziego, policyanta i wykonawcę sprawiedliwości się uważa. Przykładów na to mógłbym przytoczyć mnóstwo. Gdy przed kilkunastu laty rozbójnik Joachim, Meksykanin, na czele kilkunastu ludzi grasował na całej długości Kalifornii,

to nie policya, która wówczas nie była ani dość liczna, ani dość sprawna, ale ludność cała, siadłszy na koń, ścigała go z taką zaciętością po stepach, w niedostępnych puszczach, w dzikich wąwozach górskich, że mimo tych naturalnych kryjówek, któreby tysiącom ludzi mogły dać schronienie, Joachim został schwytany i powieszony, opryszkowie zaś wybici po lasach, jak wilki. Częstokroć wprawdzie czytamy o wojnach z małemi pokoleniami indyjskiemi, prowadzonych tak niedołężnie, że trwają całe lata, ale wojny te prowadzą i umyślnie przewlóczą generałowie w widokach osobistych korzyści; gdy jednak zniecierpliwiona ludność chwyci za broń, wówczas biada czerwonym hajdamakom: kryjówki ich są odkryte, wigwamy zburzone, ludność wycięta, i wojna w parę dni skończona.

Słyszałem o bardzo niedawnych wypadkach, w których ludność tutejsza, bez żadnej pomocy ze strony rządu, dawała sobie rady. Przed dwoma laty zdarzyło się, że w samem Anaheim dwóch Indyan zaciągnęło do winnicy i zamordowało młodą żonę jednego z obywateli. Nazajutrz, całe miasto było już na koniu w polu. Tradycya lynchu zbudziła się jak drzemiący lew i zaszumiała nad indyjskiemi głowami, jak burza.

Prawda, że kilkunastu ich zostało niewinnie zabitych, ale na resztę padł taki postrach, że sami wyszukali winowajców i oddali ich pospolitemu ruszeniu. Ale pocóż szukać takich przykładów, kiedy lada kradzież, lada krowa, owca lub koń, porwany pojedynczemu fermerowi przez Meksykanów, wystarcza, aby wszyscy jego sąsiedzi porzucili najpilniejsze roboty, najpilniejsze sprawy, narazili się na stratę czasu, pieniędzy i nie wypuścili z rąk rewolwerów, póki strata nie zostanie odbitą i zwróconą.

Wobec podobnej energii Amerykanów, przy zajmowaniu naprzykład nowych terytoryów, zamieszkanych poprzednio przez warcholską ludność meksykańsko-indyjską, zawierucha trwa zwykle parę lat, to jest póty, póki się ludność raz i drugi dobrze nie sparzy na swych złodziejsko-rozbójniczych przedsięwzięciach. Później następuje spokój taki, jakiego próżnoby szukać gdziekolwiek w Europie, i w czasie którego możesz podróżować wszędzie, nietylko bez rewolweru, ale z workiem pieniędzy na plecach. Nie wyłącza to jednak burd, które owa przyrodzona krewkość i energia czyni częstszemi jeszcze, niż gdzieindziej. Ale to inna rzecz. Gdy dwóch obywateli uzna za stosowne popodbijać sobie

wzajemnie oczy kułakami, lub wyzwawszy się na pojedynek, zapolować na siebie z karabinami, ogół obywateli nie wdaje się w to wcale, mówiąc, że to ich tylko business. Dalej w niektórych stanach dzikość sekt religijnych wywołuje nadużycia; w innych znowu, które przez długi czas były przez białych i czerwonych wydzierane sobie wzajemnie, zaprawiona na krwi ludność niełatwo wyrzeka się lynchu i niełatwo poddaje się prawu; nakoniec namiętności polityczne występują tu ostrzej niż gdzieindziej, ale są to rzeczy przechodnie: ta sama energia, która je wywołuje, później uśmierza je i wezbrany potok do naturalnego koryta sprowadza.

W każdym jednak razie, gdy sobie pomyślę, jak naprzykład prowadzone przez merów na pasku, prowincye francuskie straciły głowę, gdy w czasie wojny od Paryża je odcięto; gdy wchodząc do naszych stosunków, przypomnę sobie, ileto razy tworzą się u nas całkiem uorganizowane bandy złodziei, kradnących konie, a ślamazarna i niezdolna do żadnej inicyatywy ludność nie przedsiębierze nic i czeka zmiłowania się Bożego, ogarnia mnie smutek prawdziwy, i wolę tę jankesowską republikańską energię, razem ze wszelkiemi jej nadużyciami. Nie chodzi

mi w tem rozważaniu naszej niezaradności o pojedyncze uczynki i szkody, ale o wnioski, które stąd można wyciągnąć, że bujność wewnętrznego życia i samodzielność bardzo już w starej Europie zamarły, i że trudno tam stawiać kroki bez jakiegokolwiek paska. W Ameryce przeciwnie: samodzielność i energia rozkwitają i potężnieją coraz bardziej. Nie można przytem powiedzieć, aby przyczyną tego rozkwitu była wolność i decentralizacya, na których urządzenie Stanów Zjednoczonych jest oparte, bo tak wolność, jak i decentralizacya, jeżeli niezawodnie do rozwoju powyższych przymiotów dzielnie się przykładają, to znowu i same tylko wobec nich są możliwe. Te same urządzenia gdzieindziej może zgoła inne wydałyby owoce, ostatecz na przyczyna jest więc inna, a jest nią zajmowanie ustawiczne krain dzikich, lub przez dzikie ludy tylko zamieszkanych. Oczywiście, do krain tych ludność nie przychodzi z urządzeniami społecznemi; ale musi być sama dla siebie rządem, sądem, policyą; musi być sama dla siebie wszystkiem, a przytem walczyć jeszcze z siłami natury, z krwiożerczemi plemionami, w których to herkulesowych walkach zdolność

do samorządu, wolności i decentralizacyi jak najsilniej się wyrabia.

Ów więc straszny *uncle lynch* nietylko jest fantastyczno-rozbójniczym wytworem i nietylko dlatego o nim wspominam, aby moje mniej więcej wiekowe czytelniczki mogły wykrzykiwać: «ach»! na kanapie, okazując przytem delikatność swych nerwów i czułość serca: przedmiot to nietylko dobry jako motyw do powieści, ale fakt godny bliższej uwagi filozofa i historyka. Jest to Drakon, który idzie przed Solonem; jest to dyktator, który po kilku leciech rządu musi złożyć władzę, z nią pęki rózg i siekiery, i zdać nieraz ciężki rachunek ze swych rządów, nakoniec, jest to twarda szkola, z której młody naród wychodzi dziwnie zahartowany, czujący swą siłę jak lew, kipiący jak puhar wina i zdolny do tych czynów męskich a ogromnych, przed którymi... skłonić nam głowy.

Co rzekłszy, ściągam cugle własnym myślom i wracam do skwaterów. Owóż skwaterowie New-Meksyku, Arizony, Indyan-Terrytory, są tacy, jak *lynch* — ludzie twardzi, hartowni, burzliwi, ale dotrzymujący zawsze słowa, solidarni i brzydzący się wszelką zdradą. Skwater kalifornijski ma ich przymioty, nie mając ich wad.

Tamci są trzebicielami lasów i koczownikami, on jest osadnikiem; tamci żyć muszą ustawicznie jak gdyby na stopie wojny, w Kalifornii panuje spokój. Wszystko to daje mu pewne cechy, po których łatwo go odróżnić nietylko od skwatera, żyjącego z tamtej strony Sierra-Nevada, ale wogóle od każdego amerykańskiego obywatela. Jest to dżentlemen zwykle potężnego wzrostu i potężnych ramion, posępny, groźny, małomówny, ale spokojny, skłonny do rozmyślań i po największej części religijny. Samotność, olbrzymie spiętrzone skały, potężna a dzika natura mimowiednie wpajają mu pojęcie o majestacie i wielkości Bożej. A przytem serce ludzkie musi coś kochać, skwater więc, nie widując często po całych miesiącach twarzy ludzkiej, kocha kornie a głęboko tę niewidomą a dobrą rękę, która rankiem rozciąga zorzę różaną na niebie, każe wschodzić i zachodzić słońcu, wiosną rzuca po top kwiatów na stoki górskie, a dębom i całej puszczy każe śpiewać jakoby nasze: «Święty Boże, Święty mocny».

W stosunkach z ludźmi skwater bywa zimny, ale do wysokiego stopnia prawy, jak zwykle bywa człowiek, który nic od nikogo nie potrzebuje i który zwykł sam sobie wystarczać.

Ludzie bywają złymi z potrzeby, skwater nie ma potrzeby kłamać, oszukiwać, podchodzić, jeżeli bowiem nie umie się zadowolić swojem życiem leśnem, porzuca je, wraca do miasta i zakłada business; jeżeli zaś umie, to rozmaite dobra światowe, za któremi w pogoni ludzie porzucają drogę uczciwą, nie mają dla niego wartości. Nakoniec praca, ciężka nad wszelki wyraz, z toporem w puszczy, usypia w nim lub zabija te wszelkie namiętności i popędy, które w życiu miejskiem nieraz prowadzą ludzi na rozdroża.

Oczywiście są to cechy dodatnie, zebrane ogólnie. W pojedyńczych indywiduach dochodzą one do mniejszej lub większej potęgi, bywają często równoważone przez rozmaite nałogi i wady, albo i zgoła przez nie zabite. Skwaterowie np. meksykańscy, trudniący się, w zapadłych kątach górskich, hodowlą świń, która to hodowla nie wymaga żadnej pracy, przejmują wiele z natury tych zwierząt; skwaterowie irlandzcy bywają zawadyakami, opojami i pieniaczami, wyszukującymi umyślnie po pustkowiach sąsiadów, aby było się z kim procesować; jednakże między Amerykanami czystymi znalazłem ludzi tak

pod każdym względem wzorowych, że wyglądali mi prawie na postacie wyjęte z powieści.

Wszystkich ich razem wziętych jest jednak bardzo mało. We dwa miesiące po przybyciu w góry, poznałem ich wraz z Indyanami i Meksykanami kilkudziesięciu, ale osiadłych na takiej przestrzeni, na której połowa ludności gubernii Warszawskiej wygodnie pomieścićby się mogła. Nie mając nic lepszego do roboty, a posiadając mustanga, który wychowany w górach, umiał po nich chodzić jak koza, włóczyłem się od osady do osady; często jednak zdarzało mi się nocować przy ognisku pod gołem niebem, w jeden dzień bowiem niepodobna mi było odbyć drogi. Indyanie, którzy zresztą trzymają się po kilku, i Meksykanie — zajmują się głównie hodowlą, Amerykanie pszczołami. Pszczół nie trzymają w barciach, jak to u nas na Litwie, ale w ulach ramkowych, zbudowanych i urządzonych według najnowszych systemów. Gospodarstwo to pszczelne, gdyby nie trudność przewozu, przynosiłoby znaczne korzyści; jakoż i przynosi je, ale tylko w osadach, naokół których ludność jest gęstsza, drogi lepsze, i które, właściwie mówiąc, niegdyś były osadami skwaterskiemi, obec-

nie zaś są fermami, urządzonemi na podobieństwo wszystkich innych w Ameryce.

Odleglejsi skwaterowie, lubo częstokroć w miód bogaci, z trudnością go sprzedają. Z niektórych miejsc można go przewozić we wjukach na koniach lub mułach, z innych jednak potrzeba nosić na rękach. Swoją drogą, same tylko wschodnie stoki gór Santa-Ana, a raczej caniony: Sant-Jago, San-Joachim, Alissa, Trabuca, Madera, lubo w przeogromnych częściach jeszcze puste, wydają setki tysięcy funtów miodu i wosku rocznie. Niema bo też może nigdzie na świecie stron, w którychby pszczelnictwo mogło się tak rozwijać i kwitnąć, jak owe góry. Same caniony, obszerne a zamknięte ze wszystkich stron szczytami, stanowią jakby naturalne pastwiska pszczelne, z których pracownice nie mogą rozlatywać się po świecie, rozpraszać i ginąć. Środkiem doliny płynie zwykle potok, albo jak tu nazywają *creek,* zacieniony, chłodny, kryształowy a nie grożący topielą. Prócz głównego potoku, w pomniejszych wchodzących do canionu wąwozach i gardzielach, wije się mnóstwo strumyków, których srebrne wstążeczki brzęczą po kamieniach i skałach, tworząc to jakby maluchne w miejscach szerszych jeziorka, to znowu kaskady, tak

wdzięczne, jak owe gry wodne, ręką artystów pourządzane w Wersalu. Lekki powiew wiatru, wiejący zawsze w południe, rozwiewa w mgłę te wodne warkocze, chłodząc niby deszczem upał i znój dzienny. W miesiącu lipcu, gdy żar niebieski dochodzi do stu dwudziestu i więcej stopni Fahrenheita, woda w strumieniach jest tak zimna, jak gdyby płynęła z jaskiń lodowych, a dzieje się to tem, że zwykle łożysko nakryte jest zieloną kopułą, utkaną z dzikiego chmielu, lian, powojów, tak gęsto, że promień słoneczny prawie wcale przez oną zasłonę nie przenika.

Są też tam całe zielone jaskinie, tak wielkiego uroku, iż nieraz, gdym się w nie chronił przed upałem, zdawało mi się, że lada chwila zobaczę chorowód nagich nimf lub dryad, bo w głowie nie mogło mi się pomieścić, ażeby te miejsca, tak cudne, miały być puste i milczące.

Chociaż nie były jednak zupełnie milczące, bo kapela pszczelna grała mi nad uszami bez przestanku. Widziałem małe żółtawe pszczółki i większe, tak zwane włoskie, czarno-prążkowane, jak siadając na kwiatach do powojów, to wreszcie na żółtych kwiatach bluszczów, zamiatały nogami słodki pył i obładowane odlatywały do ulów. Czasem zalatywał kolibr, ma-

jący kształt i ruchy owadu, i zwisnąwszy na skrzydłach nad pochylonym kielichem, zanurzał weń swój długi, nakształt igły, dziobek. Za pszczołami ciągnęły pszczołojady, spore i złe ptaki, z szarym grzbietem i zielonawą piersią; przedrzeźniacze kołysały się na prętach lian, naśladując głosy ptaków i zwierząt; wreszcie cudne błękitne płaszcze i całe tysiące górskich kuropatw przychodziły pić wodę w strumieniu i zadzierać przytem głowy do góry, na wzór pijaków, którym napój bardzo smakuje.

Owóż więc pszczoły znajdują tu i wodę i dosyć pokarmu wszędzie, a to tembardziej, że przytem stoki gór pokryte są w ciągu całego roku mnóstwem najpyszniejszych kwiatów. Od upału zabezpieczają skwaterowie dobytek swój, stawiając ule pod cieniem czarnych dębów. W tych wszystkich doskonałych warunkach mnoży się też i rozrasta miododajna trzoda z niesłychaną szybkością. Zakupiwszy pięć lub sześć ulów, można dojść w ciągu kilku lat do ogromnej pasieki. Jakoż nietylko sprzedaż miodu i wosku, ale głównie sprzedaż ulów stanowi źródło dochodów skwaterskich. Kupują je fermerowie, zamieszkali na całej długości między górami a oceanem. Prawda, że trzeba te ule nieraz przeno-

sić po jednemu na plecach, ale skwater nie lęka się żadnej pracy.

Wogóle jednak odleglejsi skwaterowie, zamieszkali po niedostępnych canionach, mają daleko więcej miodu niż pieniędzy, to jest mają go czasem dziesięć rázy tyle, ile mogą sprzedać, ale też z drugiej strony, potrzeby skwatera tak są ograniczone i tak mało odległe od potrzeb człowieka żyjącego dziko, że pieniądze wyłącznie prawie tylko na zakupno prochu i ołowiu przydać mu się mogą.

II.

Wracam do opowiadania osobistych moich wypadków.

Siedziałem tedy przed namiotem owej pierwszej nocy przyjazdu, podziwiając w milczeniu ogromną przyrodę, gdy nagle z zadumy wyrwał mnie głos gospodarza, dochodzący z głębi parowu. Oba z Neblungiem podnieśliśmy się i zeszli na dół. W parowie połyskiwało ognisko z drzew laurowych, Robinson zaś zajęty był pieczeniem, a raczej wygrzebywaniem z popiołu udźca jeleniowego, który upiekł na nasze przyjęcie, i którego pyszna woń napełniała powie-

trze. Reszta jelenia, a raczej cały jeleń, pozbawiony tylko uda, wisiał opodal na drzewie, a płomień ogniska odbijał się w jego szklanych otwartych oczach. Prócz tego, na węglach gotowała się w blaszanem naczyniu woda na *japan thee* (dżapan thi), czyli japońską herbatę, jakiej powszechnie używają ubożsi ludzie w Kalifornii. Gdy pieczeń była wyjęta z popiołu i z pod odkrojonej nożem spalonej powierzchni wyjrzało różowe dymiące wnętrze, zasiedliśmy do uczty. Była to prawdziwie homeryczna uczta; okrwawione bowiem płaty mięsa braliśmy rękoma, rozkrawając je tylko z pomocą myśliwskich noży, czyli tak zwanych: *bowie knifes* (boi najf), od których Indyanie przezwali białych «długie noże». Przytem i otoczenie mogło przypominać przedhomerowe wąwozy Pindu lub Aety. Niedaleko nóg naszych płynął z szelestem po kamieniach potok; naokół ogromne złamy kamieni, o które poopieraliśmy się plecami; w środku ognisko, rzucające krwawy blask na pobliskie dęby, rosnące w rozpadlinach skalnych, a dalej złowroga mroczna głąb puszczy.

Skwater od czasu do czasu dorzucał suchych gałęzi laurowych, a wtedy w ognisku powstawał trzask, iskry sypały się złotym deszczem

i biegły gasnąć w ciemnościach, a podsycony płomień buchał do góry i oświecał nasze twarze, nasze karabiny i nasze psy, siedzące opodal i odprowadzające łakomemi oczyma każdy kawałek mięsa, który nieśliśmy do ust.

Chwilami zdawało mi się, że jestem na jakiej romantycznej operze, w której sam śpiewam barytonową rolę alpejskiego rozbójnika. Zaczynało się też istotnie dla mnie życie nowe, w którem z czasem rozmiłowałem się do tego stopnia, że jeśli przyjdzie mi później zamienić je na inne, uczynię to ze smutkiem i z niechęcią.

Księżyc świecił nad naszemi głowami tak, jakby chciał z własnej powieki wyskoczyć; promienie jego łamały się na szczytach drzew z odblaskiem ogniska; opodal szumiała puszcza; strumienie jęczały po kamieniach; z ciemności dochodziły głosy zwierząt; wszystko to było tak piękne, romantyczne i malownicze, że mimowoli czuło się skrzydła przy ramionach, i żal robiło się młodych lat, marnowanych na bruku miejskim, w małem kółku zajęć, spraw, a często wśród małych ludzi.

Z początku siedzieliśmy w milczeniu. Skwater z natury był małomówny; ja nie umiałem sobie dać rady z własnemi wrażeniami, gadat-

liwe zaś usta Neblunga tak były zapchane jeleniną, że niecierpliwe słowa nie miały się którędy przedostać.

Uważałem jednak, że skwater spoglądał na nas z nietajoną radością. Jakoż zrozumiałem to, gdy skończywszy jeść, rzekł:

— Dwa miesiące nie widziałem już twarzy ludzkiej.

— Mówiłem ci, Dżak, — odparł, wskazując na mnie, Neblung — że dżentlemen pragnie zabawić tu parę tygodni. Dżentlemen jest podróżnikiem: jeździ po świecie, a co widzi, zaraz opisuje w *Polish News-Papers* (Gazecie Polskiej). Dżak! słyszysz? ja już jestem opisany w *News-Papers*. Dżak! raduje mnie to! Pilnuj dżentlemena, ażeby nie zaginął w tych górach, a i ty będziesz opisany. Dżak! będą o was wiedzieli na drugiej półkuli.

Skwater mniej zdawał się być czułym na tak rozgłośną sławę, ale wyciągnął do mnie rękę, w której, nawiasem mówiąc, dłoń moja skryła się jak mysz w pułapce, i począł dziękować mi, że wybrałem jego sadybę jako środkowy punkt wycieczek. Odpowiedziałem na to, aż zbyt po europejsku, że i ja również się cieszę z poznania tak dzielnego dżentlemena, ale obawiam się,

abym bytnością swoją nie przyczynił mu kłopotów i ciężarów.

— Kłopotów i ciężarów! — zawołał, śmiejąc się, Neblung. — Dżak! słyszałeś o kłopotach i ciężarach?

— Mówiliśmy z dżentlemenem o tem jeszcze w Landing. Mówiłem dżentlemenowi wyraźnie: ja znam Dżaka; Dżakowi zapłaty nawet proponować nie można, bo on raczej będzie to uważał za dobrodziejstwo.

— Zapłaty nie wziąłbym od nikogo, — odparł na to skwater — a co do przybycia twego, sir, nie mogę inaczej patrzeć na nie, jak na szczęśliwy dla mnie traf. Zaraz powiem dlaczego. Oto sprzykrzyło mi się już w namiocie. Zimą, w czasie deszczów, niezbyt to wygodnie, więc postanowiłem sobie wybudować dom. Wzniosłem już ściany prawie pod dach, ale robota to niemała. Nad każdą deską przychodzi mi po parę dni pracować. A przytem tu blizko niema innych drzew, tylko po parę stóp średnicy, muszę więc dość daleko wyszukiwać pni cienkich. Pracuję po kilkanaście godzin dziennie, obok tego muszę jeszcze palić ogień, gotować dla siebie i dla psa, obrządzić moje kozy i konia, a co najgorsza, chodzić na polowanie. Poprostu czasu mi brak

a jak nie idę na polowanie, nie mam co jeść. Mogę, nie ruszając się z namiotu, strzelać kwels (kuropatwy), ale kwels wkrótce się przykrzą. Mam także zapasy suszonej jeleniny, ale i to nie lepsze. Jeśli więc, sir, zechcesz, jak to czynią wszyscy podróżnicy, polować, to nietylko czasu mi oszczędzisz, ale będziesz mnie jeszcze karmił świeżem mięsem.

— Zresztą inna rzecz gościnność w mieście, — przerwał Neblung — a inna w canionach. W mieście daję gościowi stancyę, za którą mógłbym wziąć pieniądze, daję mu brekfest, lunch i obiad; to wszystko kosztuje. A tu? gość to dwie ręce i jeden karabin więcej, a przytem towarzystwo ludzkie coś warte. Dżak, jabym się tu wściekł, żyjąc tak samotnie. Jakim się to sposobem dzieje, Dżak, że ty się nie wściekniesz także?

— Przyzwyczaiłem się, — odparł skwater — ale przecież czasem bywa ciężko, zwłaszcza gdy przyjdzie pora dżdżysta i niema co robić. Wszakże, sir, zabawisz w górach aż do deszczów? — spytał, zwracając się do mnie.

Odpowiedziałem, że nie wiem, istotnie bowiem i wówczas nie wiedziałem, i teraz nie wiem, gdzie się będę za parę miesięcy obracał. Za rok będę może w Warszawie, a może w San-Pablo.

Podróżomania jest jak wszystkie inne nałogi. Pierwszy krok najtrudniejszy, a potem popycha już jakaś dziwna siła, jakby Żyda Tułacza, coraz dalej i dalej.

Ale tymczasem ugoda ze skwaterem stanęła. Potwierdziliśmy ją jeszcze kilkakrotnem uściśnieniem sobie ręki, przyczem za każdym uściskiem syknąłem, a następnie wzięliśmy się do picia owej *japan thee*, naturalnie z miodem, nie z cukrem. Przypomniałem sobie, że we wjukach mego konia, obok rozmaitych innych gratów, znajdują się dwie małe baryłki, jedna z brandy, druga z winem. Przyniósłszy je do ogniska, zaprosiłem obu towarzyszów. Poobwijaliśmy się w koce, zapalili fajki i, to pykając z cybuszków, to popijając herbatę z brandy, leżeliśmy przy ognisku i gawędzili coraz weselej. Skwater wreszcie rzekł:

— Jutro świtaniem zaprowadzę was na jelenie.

— *All right* — odpowiedzieliśmy oba.

Wówczas zaczął nas uczyć, jak należy się zachowywać. Lubo ludzi w canionach jest nadzwyczaj mało, zwierz zatem nie często bywa płoszony, przecież jelenie, antylopy i t. p. rogata czereda niezmiernie jest ostrożna. Tłómaczy się

to tem, że prócz ludzi, polują na nią kuguary, rysie i żbiki. Napady takie zwykle odbywają się nad wodą; trzeba bowiem wiedzieć, że jeleń, wybrawszy raz sobie drogę, wiodącą do źródła, chodzi nią już zawsze. Ścieżynkę taką łatwo poznać, ponieważ nietylko zarośla, mianowicie «czaporal» i «czamizal», bywają na całej jej długości porozrywane, ale nawet i w miejscach, gdzie te krzaki nie rosną, poobsuwany żwir i poobsuwane większe kamienie odznaczają się doskonale. Otóż, polując, trzeba upatrzyć ścieżkę, potem siąść świtaniem w zaroślach po drugiej stronie strumienia i czekać, póki zwierz nie zbliży się na strzał. Polowania takie bywają nawet niebezpieczne, często bowiem dwunożny myśliwiec spotyka czworonożnego myśliwca, nader o swoje prawa zazdrosnego.

Skwater opowiadał kilka takich niebezpiecznych spotkań, w których nie wiedział, czy sam polował, czy też na niego polowano. I trudno było nie dawać tym opowiadaniom wiary, gdy rozmaite głosy, dochodzące z lasu, stanowiły niezaprzeczone ich prawdziwości dowody; raz zaś taki złowrogi ryk rozległ się w ciemnościach, że umilkł cały las, a i my z nim razem.

Skwater dorzucił wiązkę suchych laurów na ognisko.

— Przekleństwo na twój grzbiet i niech Bóg potępi twoją głowę! — rzekł po chwili.

— Blizko? — spytałem go, ukrywając z trudnością wrażenie i mimowoli sięgając ręką po karabin.

— Nie! Ze dwa lub trzy tysiące jardów, — odparł — ale głos rozchodzi się nocą po skałach, jak gdyby to było blizko. Znam cię, piekielna!

— Cóż to bydlę ryczy?

— *Silver lion* (puma). Biedny mój Ren!

Nalałem po raz trzeci «brandy» do herbaty Dżakowi, sobie i Neblungowi. Potem wypytywałem o dzieje Pumy i Rena.

— *Do you see, Jack?* (Czy widzisz, Dżak?) — przerwał Neblung: — jacy ci podróżni ciekawi. Wszystko to będzie opisane, Dżak! i twój Ren będzie opisany w *News Papers!*

— *You are a mocking bird* (ty jesteś przedrzeźniacz), Maks — odrzekł skwater, czyniąc tem przezwiskiem przytyk do gadatliwości Neblunga. — Mówię: biedny mój Ren, i nie pocieszyłbym się, chociażby «Herald» umieścił o nim artykuł. Pies ten, sir — rzekł, zwracając

się do mnie — przyszedł ze mną tu aż z Luizyany, skąd jestem rodem. Był to zacny pies: odważny i silny! Dwa tygodnie temu, ta piekielna, która dopiero co ryczała, sprzykrzywszy sobie jelenie mięso, podeszła nocą do koralla, w którym trzymam moje kozy. Ten hudlum (łobuz, niepoń), — mówił, ukazując wielkiego brytana, siedzącego przy ogniu — zwietrzywszy ją, schował się w mech pod namiot, Ren zaś, choć mniejszy, rzucił się ku niej jak szalony. Porwałem zaraz za karabin, ale nim wybiegłem z namiotu, usłyszałem jej ryk i krótkie skowyczenie Rena. Strzeliłem w powietrze na strach, potem biegłem mu na ratunek z rewolwerem i z «bowie-knife», ale już było za późno. Puma zemknęła, Ren zaś miał wydarte wnętrzności i zgruchotany grzbiet: nogi mu tylko jeszcze drgały...

I nie wiem, czy herbata z wódką zaostrzyła żal skwatera za Renem, czy też kochał nieboszczyka tak głęboko, ale nagle urwał opowiadanie, zacisnął pięście i jął powtarzać szybko, jakoby w napadzie szalonego gniewu:

— *Goddam you! goddam you! goddam!*...

— Uspokój się, Dżak! — rzekł Neblung.

Jakoż Dżak uspokoił się wkrótce; ale ten milczący i poważny zwykle człowiek, rozga-

dawszy się raz, rozpłynął się w oceanie różnorodnych opowiadań. Bądź, że trochę wypił, bądź, że tak dawno nie widząc ludzi, milczał poprzednio przez całe miesiące, dziwił teraz nawet Maksa ową powodzią słów, tak rzadko trafiającą się u skwatera. Opowiadał, że rozmiłował się w tem swojem życiu skwaterskiem i że nie porzuciłby go za nic na świecie, pomimo wszystkich jego kłopotów. Do największych kłopotów zaliczał szkody, jakie dzikie zwierzęta czyniły mu w jego dobytku. Niedźwiadki czerwone zachodziły nieraz nocą do jego ulów, ale prawdziwe spustoszenie czyniły mu małe zwierzątka, które nazywał *ra oons*, co, zdaje mi się, że po polsku znaczy: szopy; dalej, chciał trzymać kury, ale te pierwszej zaraz nocy padły ofiarą skunksów, gatunku kun tchórzów, których futra znane są zresztą dobrze u nas; miał parę świń: podusiły mu je rysie ostrowidze; nakoniec kuguary i kujoty zachodziły nocami do korallu, w którym trzymał kozy angorskie. «W dzień, mówił, wszystko to tak się pochowa, że ani śladu tego w górach, ale nocą dopiero każde zaczyna swój *business*. Czasem dwa i trzy razy na noc przychodzi mi brać za karabin, dlatego też sypiam w dzień po parę godzin.»

Pytałem się, czy też osobiste jego bezpieczeństwo często bywało zagrożone.

— Puma i szary niedźwiedź — odpowiadał — nigdy prawie nie rzucają się na człowieka, chyba postrzelone lub zaskoczone znienacka; kuguar rzuca się w takim razie ze strachu. Ale na polowaniach z zasadzki, przy których trzeba sprawiać się cicho, często się zdarzy spotkać nagle a niespodzianie jedną z tych bestyi; wówczas przytomność, silna ręka i dobry «bowie-knife» bywają jedynym ratunkiem.

— A karabin? — spytałem.

— Często niema czasu strzelać.

— Jednakże z «bowie-knife» tylko trudno wyjść bez szwanku.

— Trudno! — odrzekł krótko, i odwinąwszy rękaw od koszuli, pokazał mi niżej łokcia mnóstwo chropowatych białych piętn i szwów.

Znać było, że w swoim czasie muskuły w tem miejscu były potargane w straszny sposób.

— To już tu, w Kalifornii? — spytałem.

— Nie, — odpowiedział — to jeszcze w Texas; to jaguar, który jest niebezpieczniejszy i od pumy i od czerwonego niedźwiedzia.

Wzmianka ta o Texasie naprowadziła go na wspomnienia odległej przeszłości.

Był on rodem z Luizyany, w swoim czasie był fermerem dość zamożnym; ale gdy wybuchła wojna, porzucił gospodarkę i wraz z szesnastoletnim synem zaciągnął się do armii południowej. Następnie zaczęły go trapić nieszczęścia: syn poległ, on zaś sam dostał się w ręce północnym. Po czasie niewoli wrócił do domu, ale żona tymczasem, zbankrutowawszy na fermie, musiała ją opuścić i osiadła w małem miasteczku Berwick, nad jeziorem Chestr-Machee, w południowej Luizyanie. Berwick, położone w okolicy błotnistej i wilgotnej, klimat ma prawie jeszcze niezdrowszy, niż New-Orleans; wkrótce zatem tak on, jak i żona zapadli na żółtą febrę. Wówczas to, skupiwszy za resztki fortuny trochę wozów i bydła, udał się do suchego Texas, ale po drodze żona mu zmarła, karawanę napadli Meksykanie i zabrali wszystko, on zaś został na stepie, prawie bez ratunku.

Nie mając nic lepszego do roboty, przyłączył się do skwaterów, którzy trzebią lasy na Brazos, Colorado i Red-River. Kilka lat żył tem życiem; zebrawszy jednak trochę pieniędzy, postanowił je porzucić i udał się do Kalifornii. Przybył tam znowu prawie bez grosza, bo po drodze wydał wszystkie pieniądze; ale na szczę-

ście, w Landing, a raczej w Anaheim, spotkał takiego *good boy*, jak Neblung, który pożyczył mu trochę pieniędzy i pomógł do założenia skwaterskiego gospodarstwa w górach.

— Odtąd żyję tu — kończył — i muszę przyznać, że ani Texas, ani Luizyana nie mogą się porównać z Kalifornią.

Przechodził więc i ten człowiek burze w życiu. Wiatr pomiatał nim jak liściem, aż nakoniec rzucił go w to leśne zacisze, w którem nie wiem już, czy praca była większa, czy spokój. Czasem samotnik ten po parę miesięcy nie widywał twarzy ludzkiej, tak zresztą, jak inni skwaterowie. W czytaniu nie szukał rozrywki, bo jakkolwiek wykształcony na wzór innych Amerykanów, nie był jednakże z książkami obyty. Było to może dla niego i lepiej, rozwinięte bowiem życie wewnętrzne, a z niem rozpamiętywanie i myśl, skłonna do zagłębiania się w zagadki wszechbytu, doprowadziłyby go zapewne do drugiego bankructwa, stokroć dotkliwszego, niż poprzednie. Filozof na jego miejscu byłby sobie powtarzał: «Oto zamknąłem rachunki z życiem; zawinąłem po burzy do portu; jestem spokojny.» I byłby sobie powtarzał to dopóty, dopókiby nie zmierził sobie tej myśli,

nie doszedł do nudy, zniechęcenia i przekonania, że wszystko jest czczem i marnem i niewartem zachodu. A już wtedy o pracy nie byłoby co i mówić. Ale ten prosty człowiek nie zapładniał sam siebie filozoficzną czczością, nie rozumował! Rankiem brał siekierę i szedł w puszczę, potem gotował strawę, opatrywał dobytek; nie miał może samowiedzy swego spokoju, ale owe codzienne sprawy jego żywota wydawały mu się dość ważnemi, aby warto było dla nich żyć. W ten sposób płynął mu dzień za dniem.

Był to człowiek trzeźwy, jak wszyscy Amerykanie, jak wreszcie wszyscy ludzie, należący do ras nieprzeżytych. Samo życie mu wystarczało, refleksye życiowe w głowie mu nie postały. On nawet tego życia samotniczego sam nie wybrał, ale rzucił się w nie z musu, a pokochał je dopiero później. Pod jednym tylko względem samotność wycisnęła na nim filozoficzną pieczątkę: oto niewiele sobie cenił pieniądze.

Ale cecha to wspólna wszystkim skwaterom. Istotnie, w górach, na stepach i wogóle w pustyni, gdy sięgniesz ręką do kieszeni i wyciągniesz z niej parę białych lub żółtych krążków, nie możesz powstrzymać uśmiechu i pewnego uczucia pogardy dla tej rzeczy, którą mimo-

woli nauczyłeś się prawie czcić w miastach, a która tam na razie nie warta naboju prochu, lub kawałka suszonego mięsa.

Drugą cechą skwatera, wspólną samotnikom, była jego pobożność. Gdy wreszcie ognisko poczęło dogasać, a sen ołowiem spadał nam na powieki, on poszedł mówić pacierz, a następnie postanowiliśmy udać się na spoczynek. Skwater chciał koniecznie odstąpić mi swój namiot, który poprostu był kawałkiem płótna rozwieszonego na gałęziach i pod którym było jedno tylko miejsce; ale ja wolałem nocować razem z Neblungiem w zaczętym domku. Gospodarz przyniósł nam kilka wiązek mchu, ja zapaliłem latarkę, znajdującą się między memi rzeczami, i poszliśmy słać sobie łóżka. Na podłodze domku było pełno heblowin, trocin i rozmaitych kawałków drzewa. Powiedziałem Maksowi, żeby odgarnął to wszystko na jedną stronę i, zostawiwszy mu latarkę, poszedłem do juków po drugi koc, noce bowiem nad rankiem bywają chłodne. Z juków zabrałem wszystkie zapasy, które w nocy mogły być zjedzone przez kujoty lub szopy; następnie spojrzałem jeszcze na konie, czy się nie uplątały w lasso, gwizdnąłem na psa i wróciłem do domku.

Przyszedłszy, zastałem Maksa, powtarzającego: *Goddam! goddam!* i tłukącego kolbą od karabina skorpiona. W heblowinach znalazł ich kilka i wyrzucił przede drzwi, ale ostatni zgniewał go swoją wielkością. Wkrótce nadszedł i skwater, a ujrzawszy co się dzieje, rzekł spokojnie:

— O, u mnie pod namiotem są także!

A mnie aż mrowie przeszło:

— A może i w tym mchu są? — pytam, pokazując nawiązki.

— A może! — odpowiada skwater.

— A jak który ugryzie?

— E, nie, nie ugryzie!

Jakoż istotnie nie wiem, czy to robactwo mniej tu jest złośliwe niż gdzieindziej, czy też mniej jadowite, ale wiem, że tu nie robią sobie z niem zachodów.

Ja jednak wyrzuciłem resztę heblowin i przetrząsnąłem starannie mech.

— Zachodzą tu i grzechotniki, — rzekł nam na dobranoc skwater — i dlatego położyłbym naokół domu lasso, ale ponieważ macie z sobą borsuka, więc niema niebezpieczeństwa.

Jakoż tak i było. Skwaterowie, gdy przyjdzie nocować im pod gołem niebem, w miej-

scach, gdzie jest dużo wężów, rozciągają na ziemi w krąg włosiane lasso, przez które grzechotnik nie może się przeczołgnąć. Ale obecność naszego borsuka czyniła zbyteczną tę ostrożność: zwierzętom tym bowiem ukąszenie wężów, choćby najjadowitszych, nic nie szkodzi. Zresztą nieszczęśliwe te płazy prześladowane są przez wszystko co żyje z niesłychaną zaciętością.

Nakoniec skwater odszedł, a my położyliśmy się spać. Maks usnął odrazu, ja zaś nie mogłem. Leżąc na wznak, patrzałem w gwiazdy, dachu bowiem na domu jeszcze nie było, i wsłuchiwałem się z niejaką obawą w głosy w puszczy. Nie jestem większym tchórzem od każdego przeciętnego mieszkańca brzegów Wisły lub Niemna, ale ta noc, dzika okolica i beczenie dochodzące z lasu, rozstroiły mi nerwy. Ktoby się chciał ironicznie uśmiechać na to szczere wyznanie, niech tu przyjedzie. Nie bałem się wreszcie wielkich zwierząt, ale co chwila zdawało mi się np., że to mech porusza się pode mną: zapewne skorpion; to znów, że resztki heblowin jakoś podejrzanie wyglądają po kątach: zapewne grzechotnik. Ciągle coś podobnego! A przytem co do samych głosów nocnych — noc i cisza

zbliżają je. Zdaje ci się, że te beki, miauczenia i t. p., brzmią nie dalej, niż o jakie dwadzieścia kroków; czasem słyszysz je zaraz za ścianą, czasem tuż nad uszami, a wtedy mimowoli sięgasz po karabin. Wreszcie przychodzą nerwowe rozumowania. «Dlaczegóż (zadawałem sobie pytanie, wpatrując się w czarny skraj ściany), dlaczegóż nie miałbym za chwilę ujrzeć na tym zrębie dwojga świecących w ciemności oczu, należących np. do pumy? Może się to przez tysiąc nocy nie zdarzyć, a jednej może się zdarzyć. Kto mi zaręczy, czy to nie ta jedna?»

Ale potem przypomniałem sobie, że puma pierwsza nigdy nie zaczepia. «A więc i ja jej nie będę zaczepiał, niech sobie żyje!» Rozmyślając w ten sposób, czułem się tak pokojowo usposobiony do całego rodzaju pum, że chwilami zdało mi się, iż jestem ich serdecznym sprzymierzeńcem.

Przytem pocieszało mnie to, że Maks śpi zaraz przy mnie, i że niema powodów, dla których pierwsze lepsze drapieżne stworzenie miałoby zjeść mnie, nie jego. Ten brak egoizmu unosił mnie tak daleko, że wystawiałem sobie naprzód, jakbym go żałował w podobnym wypadku.

Ale pominąwszy żarty, sam nie wiem dlaczego najwięcej rozstrajały mnie te głosy, co do których nie byłem pewny, jakie zwierzęta je wydają. Jeden z tych głosów wołał ustawicznie na poblizkich skałach: «a ha ha!» Byłem prawie pewny, że to jakiś ptak, zatem nic niebezpiecznego, a jednak to «a ha ha!» dokuczało mi najbardziej. Nazajutrz dowiedziałem się istotnie, że krzyczą w ten sposób we dnie i w nocy wielkie kuropatwy górskie, zwane przez kwaterów *mountain quels.*

Nakoniec kto nie słyszał nigdy skomlenia kujotów, ten nie zdoła nawet pojąć, ile grobowych oddźwięków, ile jakiegoś niesłychanie ponurego smutku i żałoby brzmi w tych głosach. Nawet skwaterowie, przyzwyczajeni do wszelkich wrażeń pustyni, nie mogą się powstrzymać od klątw, słysząc te jak gdyby zagrobowe wołania i jęki. Ja również byłem już z nimi obznajmiony, bo słyszałem je wielokrotnie w Landing, a jednak przechodził mnie dreszcz od stóp do głowy.

Chwilami cały ten koncert, jakby pod uderzeniem dyrektorskiej pałeczki, milknął nagle, psy nawet przestawały ujadać, a ciszę nocną

mąciło tylko chrapanie Maksa. W takich przestankach próbowałem usnąć. Jakoż zmęczenie zaczynało brać powoli górę. Gwiazdy nad głową poczynały mi się mieszać, drgać, i jak gdyby podskakiwać, słuch tępiał, pojęcia, myśli i obrazy zlewały się z sobą w sennym bezładzie. Wreszcie usnąłem.

Była może północ, gdym usnął, a o piątej zbudziło mnie gwałtowne szczekanie psa. Na świecie już szarzało, gwiazdy bladły. W obawie, czy jaki niebezpieczny zwierz nie zbliżył się do koni, wziąłem karabin i wyszedłem zobaczyć, co się dzieje. Rankiem nerwy bywają spokojne, przytem spałem wprawdzie krótko, ale jak kamień, zatem i wypocząłem wybornie; pełen więc ducha, szedłem ku koniom. Psy czyniły ciągle straszny harmider, ale konie leżały spokojnie pod drzewami; zawróciłem tedy do domu, gdy nagle głos jakiś zawołał z pod drzewa:

— *Good day, sir!*

Był to mój skwater, który również wyszedł spojrzeć na konie i pasiekę.

— Dzień dobry! — odpowiedziałem, zmierzając ku drzwiom.

— Sir, jeśli chcemy iść na jelenie, to czas.

— *All right!* Czy obudzimy Maksa?

— Niech śpi. Jemu trudno dosiedzieć spokojnie na zasadzce.

Chciało mi się jeszcze spać kannibalsko, ale wstyd mi było opuścić dla snu polowanie; opatrzyłem więc karabin, wziąłem torbę z ładunkami, następnie napiliśmy się wódki, zjedli po kawałku wczorajszej pieczeni i ruszyli w drogę.

W tych krajach brzask ranny, a następnie świt, trwa krócej niż u nas, trzeba się więc było śpieszyć, aby stanąć na miejscu, nim zupełnie rozednieje. Szliśmy w górę strumienia po niegodziwej drodze, bo zawalonej wielkimi kamieniami, i prawie pociemku, gdyż liany, rosnące na wierzchu ścian, nie dopuszczały światła. Musiałem się trzymać ze wszystkich sił, aby nie upaść. Nieraz woda strumienia zajmowała całą przestrzeń między ścianami, a wówczas brnęliśmy środkiem. W pierwszej przerwie skalnej, przez którą do naszego strumienia wpadał inny mniejszy, mignął nam szarawy wydłużony cień, zapewne dzikiego kota. Chcąc okazać moją sprawność, zmierzyłem się natychmiast, ale skwater, uderzywszy dłonią w lufę, podbił mi karabin w chwili prawie, gdy miałem strzelić. Później wytłómaczył mi, że wystrzał dany

niedaleko już stanowiska mógłby zepsuć całe łowy.

Przez drogę nauczył mnie jeszcze, jak się mam zachowywać, polecając szczególnie największą ostrożność, największą cierpliwość i nieśpieszenie się ze strzałem, choćby mi się zdawało, że zwierz dojrzał mnie już i pierzcha. Zapisywałem sobie to wszystko w pamięci, a tymczasem wyszliśmy na miejsce otwartsze. Zamiast ścian skalnych, z jednej strony strumienia wznosiła się dość stromo góra, której brzeg schodził w wodę, z drugiej zaś szła mała równinka, porosła zupełnie laurami. Usadowiliśmy się za dwoma najgęstszymi krzakami, z tej strony strumienia, a naprzeciwko góry. Teraz trzeba było prawie tamować oddech w piersiach. Robiło się coraz widniej. Wreszcie pierwsze promienie zorzy powlokły porosły *czaporalem* wierzch góry różowym szlaczkiem. Ujrzałem wtedy wyraźnie osyp żwiru i kamieni, ciągnący się przez całą długość góry od wierzchnich zarośli, aż do strumienia. Nie mogło mi się jednak w głowie pomieścić, aby zwierzę mogło zejść z tak stromej pochyłości, nie spadłszy na głowę w dół. Wkrótce jednak przekonałem się o możliwości, gdy nagle ujrzałem wysuwającą

się z czaporalu głowę jelenia. Serce zabiło mi młotem, i jak mogłem najwolniej, podniosłem kolbę karabinu do twarzy. Nie czas jednak jeszcze było strzelać, a przytem postanowiłem pokazać skwaterowi, że posiadam ten jeden z najcenniejszych przymiotów myśliwca: cierpliwość. Dzieliło mnie od owej głowy, wystającej z zarośli, ze trzysta jardów, ale powietrze tak było przepełnione różowymi blaskami i tak przezroczyste, że widziałem ją jak na dłoni. I wtedy dopiero nabrałem pojęcia o tej niesłychanej czujności, jaką jelenie i antylopy zachowują przy zbliżaniu się do źródeł. Oczy zwierzęcia były otwarte szeroko, uszy nastawione, nozdrza poruszały się szybko, badając wonie poranne.

Myślałem, że już nigdy nie wyjdzie z czaporalu. Upłynęło może dziesięć minut, a jeleń stał jeszcze, obracając głowę na wszystkie strony. Nareszcie za głową ukazała się szyja, za szyją piersi, potem znów stanął nieruchomo. Nakoniec jednak ujrzałem to wspaniałe zwierzę w całej jego piękności.

Był to samiec, mający około czterech stóp wysokości, z dużą głową, wypukłemi oczyma i rosochatymi rogami, które, podnosząc głowę, zakładał na grzbiet. Skóra jego była jednostajne-

go płowego koloru, nie tak ciemna jak naszych sarn, ale również porosła pod brzuchem białą szerścią; nogi cienkie i wysokie, a tylne prawie jeszcze wyższe od przednich. Wynurzywszy się całkowicie, przez chwilę jeszcze łowił uszyma odgłosy, a nozdrzami wonie; nakoniec żwir i małe kamienie poczęły z szelestem staczać się na dół. Zstępował.

Kto z doświadczonych myśliwych pamięta, jakich wzruszeń doznawał na widok wychodzącego na strzał grubego zwierza, ten rozumie, jakich musiałem doznawać ja, który byłem wówczas nowicyuszem w myśliwskim zawodzie. Strzelałem przez parę miesięcy ptactwo wodne w Sebastopolu nad Kosumnes, kuropatwy i zające w Anaheim, borsuki około Orange, kujoty i ptactwo morskie w Landing, ale taką grubą sztukę, przenoszącą prawie dwukrotnie naszą sarnę, przyszło mi pierwszy raz mieć przed sobą. A tymczasem żwir i kamienie z dziwnie monotonną jednostajnością spadały i spadały na dół: zwierz zatrzymywał się co krok. Wietrzył, słuchał, patrzał. Upłynęło może z pół godziny, a jeszcze nie był i na połowie drogi; nagle zwrócił się i skoczył w tył, jakby niespodzianie spłoszony.

Wytrzymałem. Skwater nie napróżno ostrzegał mnie, że jelenie używają tego manewru, dla wywabienia z zasadzki drapieżników, mogących czyhać przy wodzie. Jakoż po chwili zwierz zaczął zstępować znowu, i znowu usłyszałem spadający żwir i kamienie; ale wszystko to odbywało się wcale nie prędzej, niż poprzednio. Dawno już cierpliwość moja nie była na tak wielką próbę wystawiona. Ręka mdlała mi od trzymania karabina, serce biło... Jardów pięćdziesiąt! Czas już! — szepce niecierpliwość. Jardów czterdzieści... trzydzieści, sam skwater musi się tam już dziwić, że nie strzelam! Jardów dwadzieścia pięć! — nie mogę dłużej: pociągnąłem za cyngiel!

Huk wstrząsnął echem w skałach, niby wystrzał armatni. Trafiony stożkową kulą, zwierz stoczył się jak kamień na dno strumienia.

— *All right!* — rzekł skwater.

IX.

Szkice amerykańskie.

Z puszczy.

I.

Rozpoczęło się więc dla mnie w *canionie* górskim życie leśne, napozór jednostajne, a jednak nie pozbawione wrażeń. Wstawałem codziennie, gdy na niebie było jeszcze szaro, i schodziłem do wąwozu, w którym zwykle zastawałem już rozniecone ognisko i skwatera, gotującego śniadanie. Przy śniadaniu wątku do rozmowy dostarczały nam wypadki nocy ubiegłej. Więc czasem zdarzały się szkody, wyrządzone przez szopy w pasiece; czasem znajdowaliśmy ślady jakich większych zwierząt w pobliżu, a wtedy układaliśmy na nie polowanie i zasadzki; to

znów rozmawialiśmy o zbliżającej się porze dżdżystej i potrzebie porobienia tych zapasów, które nie mogły być porobione gdzieindziej, tylko w mieście, a które należało porobić wcześnie, albowiem w czasie wezbrania potoków i Santa-Ana-River, drogi między miastem a canionami są poprzecinane.

Po śniadaniu, kończącem się zawsze przed wschodem słońca, skwater chwytał za topór i zabierał się do budowy chaty, ja zaś zarzucałem na plecy karabin i udawałem się ku jelenim ścieżkom. Bywały dni, że wracałem z próżnemi rękoma, co zdarzało się zwłaszcza wówczas, gdy nie zachowałem należytej ostrożności; częściej jednak przynosiłem to antylopę, to koziorożca. Mięso tych zwierząt krajaliśmy na cienkie płatki i wędziliśmy w dymie, lub też porozwieszawszy na sznurze, suszyliśmy je na słońcu. O godzinie dziesiątej kładliśmy się obaj koło potoku na posłaniu z mchów i do godziny dwunastej odprawialiśmy siestę; o tej porze dnia bowiem jest tak gorąco, że nawet w zimie ani pracować, ani chodzić po górach niepodobna. Po południu, gdy wiatr, wiejący stale codzień od oceanu Spokojnego, ochłodził powietrze, brałem znów strzelbę, ale już nie karabin, jeno

zwyczajną do szrutu dwururkę, i szedłem strzelać ptactwo.

Zabijałem bażanty, przesiadujące zwyczajnie w kaktusach i uciekające za zbliżeniem się strzelca piechotą, jako też i wielkie górskie kuropatwy, których miliony żyją na stokach i przy strumieniach. Podczas tych wycieczek spotykałem dość często grzechotniki. Płazy te lubią wyczołgiwać się na dobrze oświecone kamienie i wygrzewać się na słońcu. Zwykle uciekały, ujrzawszy mnie zdaleka, niekiedy jednak przychodziło mi staczać walkę. Pewnego razu, wyszedłszy świtaniem, spostrzegłem na samej drodze węża. Myślałem, że płaz ustąpi mi z drogi, jak się to zwykle zdarza; ale on wyprostował się do wpół ciała i, zagiąwszy głowę, począł syczeć. Mogłem mu się wtedy dobrze przypatrzyć. Sam koniec ogona jego, podniesiony w górę, poruszał się na prawo i na lewo tak szybko, że pojedyńcze drgania grzechotek zlewały się w jeden, dosyć wysoki ton. Wąż widocznie musiał być albo czemś rozdrażniony, albo najedzony do tego stopnia, że mu się nie chciało uciekać. Gdy jednak zachodziłem mu z boków, prostował się coraz bardziej i w miarę moich ruchów obracał głowę. Trwało to wszystko dość długo,

albowiem nie widziałem w tem dla siebie żadnego niebezpieczeństwa, gdyż w ostatecznym razie łatwo mogłem uciec. Nakoniec uciąłem za pomocą *bowie-knife* długi pręt laurowy i, ogołociwszy go z liści, przystąpiłem bliżej. Wąż stanął wówczas jak świeca i już chciał rzucić się na mnie, gdy uderzenie pręta zabiło go na miejscu.

Odciąwszy mu ogon, naliczyłem siedmnaście dzwonków, co znaczyło, że płaz miał siedmnaście lat; zatem stary był i niebezpieczny. Od owej pory zebrałem już bardzo piękną kolekcyę ogonów, nie licząc bowiem zdobytych osobiście, dostałem ich przeszło dwadzieścia od skwaterów i Indyan. Największe z nich dochodzą do jedenastu grzechotek, chociaż często zdarzają się węże daleko starsze. W San-Francisco np. w Wood-wards-garden widziałem węża o czterdziestu dzwonkach w ogonie.

Wracając do popołudniowych polowań na ptactwo—łupy z nich bywały prawie zawsze dziwnie obfite. Strzelając po całych dniach od rana do wieczora, a czasem nawet i po księżycu, nabierałem coraz większej wprawy. Pomagało mi przytem w czynieniu owych postępów w sztuce myśliwskiej dziwnie szybkie doskonalenie się

zmysłów wzroku i słuchu. Były wprawdzie wyborne po temu warunki hygieniczne. W Warszawie pisywałem czasem po nocach do godziny trzeciej i czwartej rano; tu chodziłem spać o zachodzie słońca — wstawałem o świcie. Ale główna przyczyna owego doskonalenia się zmysłów leżała w samem tem życiu dzikiem i leśnem. Konieczność ciągłego badania wzrokiem okolicy, wpatrywanie się w gęstwiny leśne, w mroczne rozpadliny skał, natężona uwaga i dokładność, z jaką to czynić należy: oto prawdziwa gimnastyka, z pomocą której zmysł po kilku miesiącach wzmacnia się i wyostrza, jak brzytwa.

Jest to rzecz wprawy. To samo należy rozumieć i o słuchu. W górach, o ile noce bywają hałaśliwe, o tyle w dzień, zwłaszcza w godziny upału, w których milknie nawet i ptactwo, puszcza jest tak cicha, jak grób. Słuch przyzwyczajony do tej ciszy niezmąconej ani hałasem i gwarem ludzkim, ani głosami stworzeń, staje się w końcu tak delikatny i wrażliwy, jak słuch więźnia, pędzącego życie w milczącej celi. Nasłuchiwanie rozważne na polowaniach i samotność ćwiczą go jeszcze bardziej. Dochodzisz w końcu do tego, że według słów

Mickiewicza, słyszysz: «jako się motyl kołysze na trawie, jako wąż ślizką piersią dotyka się ziola». Nieraz, gdym siedział i pisał w zaczętej chacie, a Dżak pracował o kilkaset jardów dalej w parowie, słyszałem jak mówił do psa, a słyszałem z taką dokładnością, że mogłem powtórzyć każde słowo. Widziałem również, kiedy wracał do domu, a kiedy odchodził dalej w puszczę. Pomagała zapewne do tego i naturalna akustyka skał, która sprawia, że wystrzał karabinowy, odrzucany przez jedną skałę drugiej, huczy tu jak grzmot i powtarza się kilkakrotnem echem, nim wreszcie rozbity o złamy, wyrwie się z parowów i uleci na bory i lasy.

Owóż więc strzelanina zabierała mi większą część dnia, ale do zwykłych zajęć moich należało i pisanie. Jakaś nieprzezwyciężona siła zmuszała mnie ustawicznie, abym dzielił się z czytelnikami tą sielanką górską, tak oryginalną, że mnie samemu zdawała się urojeniem i jakby snem jakimś, a tak rzadko trafiającą się ludziom mego zawodu, i tak zdrową, że była mi uspokojeniem wielkiem po życiu w mieście i niby początkiem drugiej młodości, nim minęła pierwsza.

Łatwiej jednak było chcieć pisać, niż przy-

wieść ono życzenie do skutku. Pomijając, że zesztywniałe i pokaleczone częstokroć o skały moje palce nie chciały utrzymać pióra — były i inne trudności. Przybory do pisania wożę zawsze ze sobą, miałem je tedy i wówczas w jukach; ale za to Dżak nie miał ani stołu, ani krzesła, ani żadnych podobnych rzeczy, które nam wydają się czemś niezbędnem, a na które skwaterowie patrzą jak na zbytkowne i niepotrzebne zniewieściałego życia wymysły. Dżak siadał na kamieniu w parowie, jadał na kamieniu w parowie, a na noc kładł się na mchu pod namiotem. Prawdopodobnem jest, że gdyby nawet i miał krzesła, nie używałby ich nigdy. Mówił wprawdzie, że wykończywszy dom, pragnie się urządzić inaczej, ale nie zaręczam, czy w tych zamiarach stoły i stołki grały jakową rolę.

Musiałem więc pomyśleć o urządzeniu sobie wygodnej pracowni, ile że niewygoda nie pozwala zebrać myśli, skupić się i oddać wyłącznie pisaniu. Z próżnego szafkowego ula udało mi się, z pomocą tylko siekiery, urządzić pyszny stół, który miał nawet i szufladę, chroniącą papier od zamoknięcia w czasie rosy nocnej, z robotą zaś krzeseł poszedłem za wzorem Me-

ksykanów. Jeszcze mieszkając w Anaheim, zwiedzałem tak zwane estanszye, czyli osady pasterskie. Osady takie stoją na gołym stepie, składają się zaś z szałasu, byle jak skleconego z desek, a często i bez dachu — i z ogromnego ogrodzenia, czyli korallu, mogącego w sobie pomieścić kilkaset sztuk bydła, które dniem pasie się w stepie. Meksykanie i Metysowie, zamieszkali w osadach, żyją prawie dziko. W dzień hulają konno za bydłem po stepach, wieczorem siedzą w szałasach wokół ogniska z łodyg kukurydzowych i grają w karty, kłócąc się przytem, bijąc i pijąc. Stołów i stołków nie posiadają zarówno, jak i skwaterowie, całe zaś umeblowanie szałasu składa się z czerepów wołowych, poustawianych pod ścianami. Wieczorem wakerosi stawiają je koło ogniska i siadają między rogami. Tak uczyniłem i ja. Wynalazłszy w parowie kilka szkieletów wołowych, wybrałem największy czerep i przyniosłem go do domu, poczem, przywiązawszy wiązkę mchu między rogami, miałem krzesło co się nazywa, na którem mogłem rozpierać się, jak Voltaire w swoim fotelu.

Od tego czasu zacząłem pisywać prawie codziennie, i nim pewien wypadek, o którym

wspomnę później, oderwał mnie od pracy, wykończyłem te wszystkie rzeczy, które wam posłałem. Tymczasem jednak spadło na mnie nowe zajęcie. Dżak Harrison, czyli mój Robinson, budował dom już parę miesięcy, a było rzeczą arcy prawdopodobną, że nim wykończy dach i zaciągnie go na ściany, upłynie jeszcze czas niemały.

Byłoby to dla mnie wszystko jedno, gdyby nie to, że noce, w miarę zbliżania się jesieni, stawały się coraz chłodniejsze, nad ranem zaś padała tak obfita rosa, że wierzchni gruby koc, którym się okrywałem, bywał przemoczony, jakby po dość ulewnym deszczu. Zaczęło mi to szkodzić, jako nieprzywyklemu do sypiania pod gołem niebem, a szkodziło tembardziej, że w dzień upały dochodziły do stu i więcej stopni Fahrenheita. Dżak ofiarował mi swój namiot, ale nie chciałem go przyjąć, raz, że nie chciałem zabierać mu miejsca, a powtóre, że namiot ten był tylko kawałkiem podziurawionego płótna, rozwieszonego na patykach i niedającego prawie żadnej ochrony. Pomyślałem zatem, że najlepiej będzie pomagać Dżakowi w budowie dachu; jakoż od tej pory echo powtarzało codziennie uderzenia dwóch toporów. Robota poczęła

postępować bez porównania szybciej. Nie umiałem wprawdzie nigdy ciesiełki, i do tej pory nie mam o niej dobrego wyobrażenia, ale pomoc dwóch choćby nieumiejętnych, choćby tylko siłę przedstawiających rąk, ma w tego rodzaju pracach nieoszacowaną wartość. Poprzednio np. Dżak musiał nosić o kilka mil angielskich po jednej cienkiej belce, obecnie nosiliśmy po dwie, a nawet i po trzy, związawszy je sznurami. Wpadłem na myśl zaprzęgania do cięższych belek mego mustanga, ale okazało się to niepraktycznem, albowiem jedyną drogą prowadzącą w głąb puszczy było łożysko potoku, miejscami tak zawalone kamieniami, a gdzieindziej znów tak głębokie, że nietylko koniowi, ale i człowiekowi groziło co chwila niebezpieczeństwo upadku. Nabyłem tego konia od Neblunga za ośm dolarów, co stanowiło dość wysoką cenę, od Indyan bowiem i od Metysów można, z pomocą zwłaszcza szklanki wódki, kupić i za pięć. Ale Maks wziął go z sobą w góry wcale nie na sprzedaż, tylko z grzeczności dla mnie i dlatego, aby wracając z gór, mógł zabrać do Landing towary zakupione w Anaheim. Tymczasem, w chwili odjazdu Maksa, naparłem się kupić owego podjezdka. Maksowi nie bardzo to

było na rękę, ale wreszcie wyrachował sobie, że pod towary może nająć innego mustanga, bądź w Anaheim, bądź w pierwszej lepszej fermie — i ugoda przyszła do skutku.

Pokazało się jednak później, że nie zrobiłem zbyt korzystnego nabytku. Był to wprawdzie młody, bo trzyletni koń, dereszowatej maści, dość rosły i silny, ale jak większa część mustangów, dziki i do wysokiego stopnia złośliwy. Przy kulbakach meksykańskich, wyłącznie używanych w Kalifornii, a bogdaj i w całej Ameryce, ogromne drewniane strzemiona całkiem pokryte bywają skórą, chroniącą nogi jeźdźca przed zębami konia. Jednakże, jak tylko jeździec, zapomniawszy się choć na chwilę, popuści cugle munsztuka, natychmiast stepowy biegun odwraca głowę i stara się go pochwycić gdzie może. Mój, prócz powyższych wad, miał jeszcze tę, że nie dawał do siebie dostąpić. Gdym się do niego zbliżał, chcąc go osiodłać, toczył krwawemi oczyma, stulał uszy, gryzł i kopał tak gwałtownie, że musiałem z całej siły zaciągać koło jego szyi lasso i dopiero z nawpół przyduszonym mogłem już robić, co mi się podobało. Jednakże powszechnie pierwsze tylko miesiące pożycia z koniem bywają tak przy-

kre. Później zwierz przyzwyczaja się do jedynej istoty, która koło niego chodzi, daje mu jeść, czyści go i pilnuje. Zwolna stosunek, nie przestając być szorstkim, staje się przyjacielskim. Przez kilka pierwszych tygodni starałem się napróżno ułagodzić mego deresza; napróżno dawałem mu regularnie jęczmień, kukurydzę i koniczynę. Wyrósł, wypiękniał, ale nie przestał się płoszyć i strachać. Chwilami wpadałem już nawet w zupełne zwątpienie, czy będziemy z sobą żyli kiedykolwiek inaczej, niż na stopie wojennej.

Tymczasem Dżak poradził mi, ażebym próbował jeszcze przyswoić go głodem. Jak powiedział, tak uczyniłem. Przywiązałem umyślnie lasso krótko do drzewa, ażeby koń nie mógł się paść soczystą trawą, rosnącą zwykle pod dębami, i odszedłem. W południe napoiłem go, ale nie dałem mu jeść. Wieczorem przyniosłem w blaszance trochę kukurydzy, popuściłem lasso, i stanąwszy opodal, zawołałem: «Pójdź!» Mustang według zwyczaju stulił uszy, szarpnął kilka razy za sznur i nie myślał się zbliżyć. Zacisnąłem sznur i odszedłem. Nazajutrz rano podobna scena. Strzygł uszami, patrzał na kukurydzę, roztwierał ku niej chrapy, ale nie

przyszedł. Tymczasem trawa na małej przestrzeni, na której mógł ją szczypać, była już wyjedzona. Głód zaczął mu dokuczać coraz bardziej. W południe przyszedł już do blaszanki i jadł łapczywie. Brałem go za uszy, w których szczególnie był łechciwy, głaskałem po łysinie: nie cofał się. Odtąd, przynosząc mu obrok, rozpuszczałem lasso i stawałem coraz dalej. Przychodził zawsze, a w końcu przyszło do tego, że gdym się tylko pokazał, biegł z rżeniem ku mnie, o ile sznur na to pozwolił, wspinał się i skakał, ale już z radości, jak przywiązany na łańcuchu pies. Podczas gdy jadł, obsypywałem go pieszczotami, o które potem sam się dopominał.

Wówczas dopiero przekonałem się, co staranna i troskliwa hodowla może z konia zrobić. Jak wszystkie mustangi, tak i ten mój miał długą wichrowatą sierć, zarosłe pęciny i najeżoną grzywę. Po miesiącu starań, gdym na noc okrywał go kocem, karmił doskonale, czyścił codziennie, szyja jego zagięła się w piękny łuk, w oczach zaświecił rozum i fantazya, grzywa stała się cienką i delikatną, szerść błyszczącą, słowem: zrobił się prawie rasowy koń, na któ-

rego potem Meksykanie i Indyanie spoglądali z nietajoną żądzą.

Ale tak Meksykanie, jak i Indyanie wcale nie zajmują się swymi końmi. Gdy Meksykanin przyjeżdża z drogi, wówczas zdejmuje kulbakę, a konia wygania na step, jak u nas na Ukrainie czynią Kozacy — i nie chce więcej o nim wiedzieć. Nigdy nie widziałem, aby Meksykanin konia czyścił lub karmił obrokiem. Koń żyje tem, co sam znajdzie. Prawda, że na wiosnę i w zimie paszy wszędzie jest obfitość; ale latem, w lipcu i sierpniu, gdy słońce spali na proch trawy, a «prerya» wygląda jak popękane klepisko, konie mrą z głodu i utrzymują się przy życiu tylko ogryzaniem liści wierzb i innych drzew, rosnących przy wyschłych łożyskach strumieni. Łatwo zrozumieć, że żyjąc w powyższych warunkach, mustangi muszą być złe i dzikie. Przez większą część roku, żyjąc w stadzie, nie widują twarzy ludzkiej, a gdy czasem zjawia się jeden i drugi człowiek, to tylko po to, żeby wywijać długiem lassem nad przerażonem stadem, chwytać konie, dusić je, potem dosiadać i bość takiemi ostrogami, jakie ongi w Europie nosili średniowieczni rycerze.

Gdyby nie ta dzika, stepowa, a w rzeczy żadna hodowla, mustangi, mające w sobie krew dawnych koni hiszpańskich, wnuków owych rumaków, które wraz z Arabami przybyły do Hiszpanii ze Wschodu, jeszcze w 711 roku, dałyby się wyrobić w rasę piękną i szczególnie pod siodło przednią. Dowodem tego mustangi z południowego Texasu, umyślnie tam hodowane w niektórych miejscowościach, które na wyścigach biją najsłynniejsze folbluty z Kanady i dochodzą do cen bajecznych. Wogóle jednak, mustangi nie odznaczają się pięknością. Głowę zwykle miewają dużą, czoło wypukłe, szerść kudłatą i obrośnięte nogi. Celują jednak wytrwałością. Meksykanie nigdy inaczej nie jeżdżą, tylko galopem. Skoro koń na sobie poczuje jeźdźca, wyrzuca przednie nogi i, wpadłszy w galop, nie zmienia chodu, choćby mu przyszło biedz dwadzieścia i trzydzieści mil (angielskich) bez przestanku. Jeździec kołysze się wówczas na siodle, jak w hamaku, kręci w galopie *cigarittas*, śpiewa: *O dolce amiga!* i tylko od czasu do czasu poprawia na głowie swoje ogromne *sobrero*, gdy mu je powiew wiatru zbyt z czoła zsunie.

Gdy koń nie chodzi w stadzie, ale służy ciągle jednemu człowiekowi, z czasem staje się

pojętny i sprawny, co szczególniej pokazuje się przy rzucaniu lassem. Gdy jeździec wypuści przed siebie sznury, wytrawny mustang zwija piorunem młynka na miejscu i poczyna z całych sił galopować w przeciwną stronę, ściągając w ten sposób pętlicę i dusząc schwytaną zdobycz. Widziałem także u niektórych wakerosów konie tak wytresowane, że na odgłos świstawki przybiegały natychmiast w największym pędzie ze stepu. Takie jednak rzadkie są i wysoko cenione.

Mustangi, sprzedawane do miast, przyzwyczajają się do zaprzęgu, ale że zwykle zaprzęgają je zbyt młodo, wyglądają więc biednie i podobnie do naszych chłopskich koni. Najlepiej jednak chodzą w jukach, który też sposób, powszechnie w stepach, do przenoszenia mniejszych ciężarów jest używany.

Mój mustang, jako juczny koń, pełnił doskonale swoją służbę. Każda kulbaka meksykańska, oprócz wysokiej kuli na przedzie, naokoło której nawija się lasso, opatrzona jest w sześć lub nawet ośm par troków, wyrobionych z niezmiernie silnego rzemienia. Otóż do troków tych, nieraz podczas dłuższych wycieczek, przywiązywałem worek z kukurydzą, z mąką, jedną

małą baryłkę z wódką, drugą z winem, prócz tego z tyłu koce i karabin, razem do stu i więcej funtów ładunku, nie licząc mnie. Z takim ciężarem koń galopował po kilka mil (angielskich) jak gdyby nic, a zsiadałem z niego tylko w takich miejscach, w których obawiałem się razem z nim kark skręcić. Gdyśmy jednak z Dżakiem, urządziwszy z postronków szleje, próbowali zaprządz go do belek, począł wierzgać i rzucać się tak zapamiętale, że odprzęgłem go natychmiast w obawie, aby się nie skaleczył. Odtąd przenosiliśmy belki, krokwie i deski własnoręcznie.

Robota desek zajmowała najwięcej czasu, albowiem w braku wielkiej piły, trzeba je było obrabiać toporem, co naprzód długo trwało, a powtóre z całego pnia wyrabialiśmy tylko jedną deskę, tak ciężką i niezgrabną, że zaprawdę podobniejszą była do cokolwiek ścienionej belki, niż do deski. Gdy nakoniec szkielet dachu z krokwi stanął, przybijaliśmy te deski poprzecznie długimi gwoździmi. We dwa tygodnie wyrobiliśmy dziesięć szerokich łat, że zaś Dżak miał ich już przeszło dwa razy tyle przygotowanych, w tydzień więc skończyliśmy z dachem, i chata była gotowa. Spoglądaliśmy z dumą

i zadowoleniem na swoje dzieło, chociaż gdyby je mierzyć mniej pobłażliwem okiem, przedstawiałoby wiele do życzenia. Dom składał się z jednej izby, mogącej pomieścić dwa posłania z mchu, kilka czerepów wołowych i moją pracownię. Drzwi zbudowaliśmy wprawdzie dość prawidłowo, z trzech krótkich desek, i przybiliśmy na zawiasach, zakupionych wraz z innem starem żelastwem przez Dżaka z Anaheim, ale okien szklanych nie było wcale. Dżak nie myślał nawet starać się o nie, albowiem klimat tutejszy usuwa ich potrzebę.

W dzień otwory w tylnej ścianie przepuszczały aż nadto światła, na noc zaś dla ciepła zasłanialiśmy je roletami z grubego płótna. Mocny, choć niezgrabny, i dostatecznie pochyły dach bronił od deszczów, zatem i wszystko było jak należy, czyli *all right!* Ukończywszy dom, otoczyliśmy go rowem, broniącym przystępu wężom; zaczem już nie pozostało nic więcej, tylko obsadzić go figami, pomarańczami, drzewami brzoskwiniowemi i krzakami migdałów.

Była to jednak robota na później, bo przedewszystkiem musieliśmy się zająć zgromadzeniem zapasów na porę dżdżystą. Ale tymczasem zdrowie moje poczęło cokolwiek szwanko-

wać. Ciężka i wysilona praca, na upale dochodzącym do stu stopni Fahrenheita, nabawiła mnie ciężkich bólów głowy, siedzenie zaś cowieczorne przy ognisku, podczas chłodnych nocy, tak silnego kataru, że podobne chyba przed potopem istniały. Przytem w nocy, gdy psy szczekały zajadle, a większe jakie zwierzęta wyły w pobliżu, trzeba było wylazić z ciepłego mchu, brać strzelbę i obchodzić z nią korall, pasiekę, czasem wystrzelić w powietrze, ale przedewszystkiem zaziębiać się niemiłosiernie. Pewnej nocy, koń mój, widocznie przerażony przez kujoty, począł szarpać tak silnie lassem i tak je poplątał, chcąc zerwać, że musiałem przeszło przez pół godziny rozwikływać pozaciągane węzły. Była to godzina czwarta rano, a więc czas największego chłodu.

Zmarzłem jak sasanek i cały następny dzień musiałem przeleżeć w mchu.

Gdyby to było w innym, nie tak niesłychanie zdrowym klimacie, byłbym dostał febry lub zapalenia płuc. Ale o febrach nikt tu nigdy nie słyszał, moje płuca zaś, w przeciwieństwie do serca, zapalają się bardzo trudno. Swoją drogą poczciwy Dżak cały dzień następny gotował dla mnie *Japan thee*, a wieczorem przyniósł mi

szklankę odwaru z jakichś ziół, podobno nader skutecznych. Jakoż na drugi dzień było mi już lepiej, o tyle nawet lepiej, że o świcie mogłem pójść na polowanie.

Troskliwość i przyjaźń, jakie okazywał mi Dżak, zjednały mu moje serce. Dżak był to człowiek nie uczony, ale elementarnie wykształcony, jak każdy Amerykanin, a posiadający wiele przymiotów, rzadkich nawet w najwykształceńszych ludziach. Był jednak trochę posępny i małomówny. Wieczorem przy ognisku rozgadywał się wprawdzie; przy robocie za to w dzień nie mówiliśmy zwykle do siebie ani słowa. Taka małomówność w człowieku ze świata oznaczałaby zły i nieprzyjemny humor, ale u Harrysona było to tylko przyzwyczajenie, wynikłe z życia samotnego. Myślę nawet, że ludzi tak jednostajnego humoru, jak w ogóle skwaterowie, a w szczególności Dżak, niema na kuli ziemskiej. Zmienność usposobienia bywa zwyczajnie wpływem rozdrażnionych nerwów i niestałego zdrowia, a skwaterowie nie znają co to nerwy, zdrowi zaś są jak dęby. Przytem ogólna, wrodzona amerykańskiemu ludowi męskość charakteru i zupełny brak drobiazgowości, wyłącza

w skwaterach dręczenie się błahostkami i poruszanie sobie żółci za lada powodem.

Powiedziałem, że brak drobiazgowości jest cechą ogólną Amerykanów, i powtarzam jeszcze raz, że drugiego ludu, któryby tak łączył w sobie wszelkie wady i przymioty prawdziwie męskiej natury, niema na świecie. Amerykanin nie posiada ruchliwości francuskiej, nie jest zapewne zdolny do uczuć tak delikatnych i poruszeń duszy tak subtelnych, jak np. Francuz lub Polak. Yankes bierze rzeczy z gruba: szczegóły, drobnostki i małostki nie istnieją dla niego. We wszystkiem jest to twardy mąż. Umie kochać, ale nie kwilić; umie nienawidzieć, ale nie kąsać milczkiem. Plotkami, babską gadatliwością, haftowaniem skandalicznych nowinek na kanwie czci ludzkiej brzydzi się. Gdy nienawidzi, burzy, ale nie podkopuje; gdy pracuje — wióry lecą; gdy wydaje pieniądze, rzuca dwudziestodolarówki, jak liście. Nie rozumie co to oszczędzać centy. Gdy się wzbogaca, robi miliony; bankrutuje — także na miliony. Szanuje kobietę, jako najwyższy dar Boży. Często daje się jej za nos wodzić, właśnie dlatego, że nie jest drobiazgowy i że patrzy na nią, jak rozkochany lew. Nakoniec, kocha swoje *Unajted Stet* (United Sta-

tes), jest z nich pyszny, dumny, i gdy Rzeczpospolita w niebezpieczeństwie, nie namyśla się, nie ogląda, ale zdejmuje swój *Kentucky rifle* z kołka, ryczy jak buhaj, a staje jak jeden mąż.

Komu taka charakterystyka wyda się przesadzoną lub zbyt ogólną, temu powiem, że nie szukałem i nie znalazłem jej w wielkich miastach, gdzie wszystkie piersi przykrajają się na «jednaką miarę krawca»; ale tam, gdzie należy szukać prawdziwej Ameryki, tam, gdzie leży jej moc, jej zdrowie i jej przyszłość — to jest w małych osadach wiejskich, fermach licznych jak piasek w morzu, na pograniczach, na pobrzeżach, w górach, między ludnością miernie bogatą, a rojną, zabieglą i bujną. O! trudno mi nawet wypowiedzieć, jaki to młody, orli i jak pełen kipiących sił wewnętrznych jest naród — i jakbym chętnie przysłał tu po zdrowie pewne znajome mi społeczeństwo, w którem dobro społeczne jest zdawkową monetą... bez kursu, w którem wszystko zmalało, energia i praca jest frazesem, mężczyźni chorują na nerwy i bezkrwistość, a za to szermują językami, przędą i noszą swoim damom świeżo wyszłe z pieca plugawej opinii plotki.

Co do skwaterów, są to wybitne, może zbyt

wybitne nawet, ale doskonałe typy, uosabiające charakter całego narodu. Osobiście jednak, mimo szorstkich pozorów, zwłaszcza skwaterowie osadnicy, są to ludzie po większej części prawi, a bardzo łagodni; albowiem żyjąc samotnie, nie doznają rozczarowań i zwątpień, zaostrzających charakter. Taką łagodność posiadał i Dżak. Temperament jego był dość chłodny, a wrodzoną mu energię, która sama z siebie mogła kipieć, pochłaniała praca. Przytem, lubo z natury mało był skłonny do rozmyślań, jednakże przez życie godne prawdziwie Robinsona wyrobiło się w nim to, co wyrabia się zwykle w samotnikach, to jest przyzwyczajenie ciągłego patrzenia na siebie i rozważania siebie. W naszych poufnych wieczornych gawędkach przy ognisku powiedział mi, iż mu się nieraz zdaje, jakoby było dwóch Dżaków: jeden, który buduje dom, rąbie drwa, gotuje jedzenie w parowie; a drugi, który nie robi nic, tylko przypatruje się pierwszemu. Powiedział to bardzo poprostu, przeplatając opowiadanie ustawicznymi wykrzykami: *by God! by God!* Musiałem nawet pomagać do narodzenia się tej myśli, ale i tego było dosyć dla wyrobienia w tym charakterze pewnej, niby filozoficznej łagodności. Jeżeli, przypuszczam,

Dżak zewnętrzny rozgniewał się na jakiego kujotę lub szopa i miał ochotę wybuchnąć — Dżak wewnętrzny spoglądał na niego spokojnem okiem, uśmiechał się z politowaniem, a może i mówił: «Wstydź się!» — i pod temi słowy wszelka myśl przekroczenia zwykłych granic postępowania gasła, jak płomień świecy pod podmuchem wiatru.

Bywa jednakże, że człowiek żyjący w samotności rozmyśla nietylko za siebie, ale i za otaczającą go przyrodę. Próbowałem dowiedzieć się: zadawał-li sobie Dżak pytanie, czy jest i jaka jest myśl w tych ogromnych skałach, przerzynających skłon błękitu, w tych strumieniach, narzuconych srebrną siatką na górskie rozłogi, w drzewach, w zaroślach, w świecie zwierzęcym, a wreszcie w słońcu i gwiazdach? Chciałem przekonać się: istniało-li w nim poczucie ducha natury, lub jaki pół-wid jedno-jedynej zasady wszechbytu? Nieraz zdarzało mi się czytać o takich prostakach filozofach. Takim np. był Giliat w «Pracownikach morza». który zaludniał w myślach powietrze niewidzialnym światem zwierzęcym, a z całą naturą tak się zjednoczył, że pokochała go i otworzyła mu swe tajniki. Ale z żalem wyznać muszę, że w Dżaku

nie odkryłem nic podobnego. Jak każdy leśnik, tak i on znał swoje otoczenie, wiedział kiedy niektóre krzewy otrząsają dawne liście, aby się ubrać w nowe; znał własności lecznicze ziół i drzew; rozumiał mowę gór, gdy przysłaniając się wieczornym tumanem, zwiastowały deszcz nazajutrz rano — słowem: widział objawy i czytał je jak drukowane słowa w książce, ale żadne: «dlaczego?» nie przychodziło mu, jak głupcowi Heinego, do głowy. Skoro raz spróbowałem o tych rzeczach z nim rozmawiać, odpowiedział mi słowami Biblii: że Pan Bóg stworzył świat, aby człowiek miał gdzie żyć i z czego korzystać.

Oczywiście, że taki pogląd, obierający jako punkt wyjścia człowieka, wyłączał wszelkie inne dociekania. Dżak był poprostu pobożny człowiek, tak zresztą, jak prawie wszyscy skwaterowie-osadnicy. Stanowiło to nawet poetyczną jego stronę. Wieczorem, gdy ognisko dogasało w parowie, odchodził zawsze trochę w górę pomiędzy kamienie, i odkrywszy głowę, wznosił oczy ku niebu i poczynał mówić pacierz. Wydawał mi się wówczas poetycznym bardzo, tą majestatyczną poezyą siły, korzącej się przed siłą jeszcze wyższą. Promienie księżyca padały srebrem na jego energiczną, brodatą twarz, o ry-

sach jakoby wykutych z kamienia. Myślałem czasem, że żyję w pierwszych czasach chrześcijaństwa i że widzę przed sobą jakiego barbarzyńcę Cymbra, kładącego swą twardą duszę pod nogi Boga. Obce dla ucha mego słowa modlitwy, utwierdzały mnie jeszcze bardziej w tem złudzeniu: *Our Fatger, who aro in heaven, hallored be thy name* (Ojcze nasz etc.), mówił, patrząc w gwiazdy, Dżak... Potem ucinał głos, jak zakonnik, czytający z brewiarza; a potem znów uszu moich dolatywał oderwany uroczysty frazes: *Give us this day our daily bread!* Modlitwa nie trwała zwykle długo, ale jeśli w głębiach niebieskich słucha jakie ucho głosów z ziemi, to musiało słyszeć ten głos z pustyni.

Po niejakim czasie wspólnego pożycia, zaproponował mi Dżak, abym z nim został na zawsze.

— Ludzie po miastach mają daleko więcej kłopotów, — mówił do mnie — a tu jest spokojnie. Dochowamy się pszczół, ile sami będziemy chcieli; wytniemy dwa razy tyle puszczy, zasiejemy jęczmień i kukurydzę, zasiejemy tytuń, chatę obsadzimy pomarańczami, figami i krzewami białych migdałów. Przyjdzie czas, że ludzie tu osiędą, ziemia zacznie mieć cenę, a wów-

czas, gdy mnie już nie będzie, zostaniesz właścicielem mego klemu i swojego, co razem wziąwszy, utworzy taką fermę, jakiej, *by God! by God!* niema od oceanu aż do suchego jeziora. W lesie żyje się spokojnie — zostań.

Była jedna mała chwila, w której ta pokusa uśmiechnęła mi się i oczarowała mnie, jak leśna Dziwożona. Nie nęciło mnie przyszłe dziedziczenie ziemi Dżaka. Dżak nie darowywał mi nic. Kraj tam wokoło pusty, ziemia niczyja, mogłem więc tak jak każdy brać jej więcej, niżbym zdołał obrobić. Alem znajdował urok w tej sielance i w życiu z naturą, i w tym porcie tak cichym, że żadne burze nad nim nie wieją. Jednakże, po niejakim czasie, ponęta zbladła. Nieznane mi jeszcze morza, lądy i ludy, szlachetny zawód podróżnika, życie, jego walki, klęski, zwycięstwa i powaby, wreszcie przyszła chwila powrotu, w której strząsnę z obuwia obcy pył u progu ojczyzny: wszystko to przemówiło daleko silniej. Więc powiedziałem Dżakowi, że jak ptakiem przyleciałem w te góry, tak ptakiem z nich odlecę.

II.

Było to jakoś w drugiej połowie października. Około godziny dwunastej w południe, taka

cisza osiadła na okolicy, że góry, skały i puszcze zdawały się zaklętym snem ujęte. Żaden liść nie poruszał się na drzewie. Pisząc w chacie, słyszałem, jak dojrzałe żołędzie czarnych dębów urywały się z szypułek i, szeleszcząc po liściach, uderzały o ziemię. Upał był nieznośny, powietrze w domku stało się tak duszne, że po małej chwili, nie mogąc pisać, złożyłem pióro. Serce i tętno w skroniach biły mi przyśpieszonym ruchem. Nie rozumiałem, co się to dzieje: czy ja jestem chory, czy też w naturze ma zdarzyć się coś niezwykłego. Chciałem spytać o to Dżaka, ale przed godziną poszedł się był kąpać do potoku i nie wrócił jeszcze do chaty: więc położyłem się na mchu i począłem ocierać pot, który obficie występował mi na czoło.

Tymczasem stawało się coraz duszniej. Nie mogłem już wątpić, że to na mnie nachodzi jakaś choroba, gdy nagle usłyszałem zdala ciężki chód Harrysona. Po chwili wszedł do chaty: policzki jego były zarumienione, ale oczy jakoby przygasłe, a czoło niemniej zroszone potem od mojego.

— Co to się z nami dzieje, Dżak? — spytałem go.

— Santa-Ana-wind! — odrzekł.

Wiedziałem już, co to znaczy. Czytelnik, spojrzawszy na dokładną kartę Kalifornii, z łatwością dostrzeże dwa równolegle prawie łańcuchy gór: Santa-Ana i San-Bernardino. Mniejsze i niższe pasmo Santa-Ana ciągnie się bliżej oceanu, poważne zaś Bernardyny wznoszą się w głębi kraju, stanowiąc jakoby kość pacierzową jego południowej części.

Owóż za temi górami, państwo Kalifornia ciągnie się jeszcze daleko na wschód, aż do rzeki Colorado, stanowiącej granicę od Arizony. Cała ta część jest to jedna, równa, piaszczysta pustynia, gdzieniegdzie tylko powzdymana w sypkie wzgórza, gdzieniegdzie poprzerywana bezimiennemi jeziorami, w których przez większą część roku wody brakuje. Największe z tych jezior nosi nawet nazwę: Dry-Lake, co znaczy Suche jezioro. Po deszczach zimowych pustynia na krótki czas zmienia się w preryę, umajoną cudną zielonością, ale to jeden tylko krótki uśmiech natury na tem wielkiem cmentarzysku piaszczystych kurhanów. Rzeka Colorado, stanowiąca granicę od Arizony, nie jest wcale granicą pustyni. Wprawdzie brzegi rzeki żyzne, urodzajne i zarośnięte, ciągną się jakby zielona wstęga, aż do zatoki Trzech-Króli, ale za rzeką

pustynia znowu się rozpoczyna i obejmując większą część Arizony, rozlega się na wschód, aż do niezliczonych pasm gór, zawalających środek tego stanu, na południe zaś aż do meksykańskiej Sonory.

Przy rzecze Gila, wpadającej do Colorado, pustynia staje się najgłuchszą. Część ta nosi nawet nazwę Gila-Desert. Ruchome jej piaski nigdy nie pokrywają się zielonością; niema tam żadnych osad, ani ludzi białych, ani Indyan. W części pustyni kalifornijskiej (między St-Bernardino a Colorado) na wiosnę, gdy jeziora pełne są wody, a trawa pokrywa wklęsłości gruntu, głusza ustępuje gwarowi życia. Czasem stado bawołów, zabłąkanych aż do gór Arizońskich, rozbija piersiami trawę, a za niem pędzą skurczeni na koniach jeźdźcy indyjscy; czasem metysowie gnają stada mustangów, czasem kupcy wolarze ciągną do wschodnich osad pasterskich; czasem zabłąka się traper z Prescot lub Tuscon; tak dzieje się w za-bernardyńskiej części pustyni, ale Gila zawsze jest cicha, głucha, martwa i złowroga.

A taką jak Gila, staje się po upływie wiosny cała pustynia. Nazwałem ją niepróżno złowrogą, wszystko bowiem, co stamtąd przychodzi, jest

jakby tchnieniem śmierci. W tych to gorących piaskach, szarańcza składa swoje jaja na zimę, a wiosną ciągnie w postaci chmur na cudne doliny Kalifornii, zostawiając po sobie bezlistne drzewa i bezwstydnie gołą ziemię; stamtąd nareszcie, od Gila i suchych jezior wieje wiatr, zwany w Anahejmskiej dolinie: Santa-Ana-wind.

Powinniby go raczej nazywać: Desert-wind lub Gila-wind. Są to prądy rozpalonego powietrza, z którego pustynia wyssała wszelką świeżość i wilgoć, a przesyciła natomiast elektrycznością. Czasem wiatr ten wieje także z południa, od strony «Lower-California,» czyli od strony meksykańskiej, półwyspowej Kalifornii, będącej również pustynią. Częściej jednak ciągnie ze wschodu od Gila. Jest on tem samem dla Kalifornii, czem Sirocco dla Sycylii, Solano dla Hiszpanii, a Samum dla Arabii. Mniej zapewne od tamtych niebezpieczny i rzadszy, bo wieje tylko jesienią i w zimie, rozstraja jednakże nerwy ludzkie, wysusza muskuły, skręca liście na drzewach i przejmuje strachem zwierzęta. Gdy Dżak oznajmił mi jego blizkie przybycie, wyszedłem natychmiast z chaty. W całej naturze znać było, mimo ciszy, jakąś niespokojność,

a i sama cisza wydała mi się martwotą, nie spoczynkiem. Powietrze straciło swoją przezroczystość. Niby jakiś pył, niby dym unosił się w atmosferze. Światło słoneczne, przechodząc przez ów tuman, straciło swoją pyszną, jarzącą pozłocistość, a świeciło chorobliwie, rdzawo, smutno. Sam krąg słoneczny, pozbawiony promiennych włosów, przesłoniony a czerwonawy, pozwalał oku bezkarnie patrzeć na się, jakoby przez zakopcone szkło. Myślałem, że to może dym rozszedł się po powietrzu.

— Dżak! — spytałem — wszak-to Indyanie musieli gdzieś zapalić lasy?

— Nie! — odpowiedział Dżak — ja myślę, że to pył z pustyni.

Ale Dżak mylił się, bo przecież pył nie mógł przyjść przed wiatrem. Na pytanie jednak, czy tak zawsze bywa, odpowiedział mi, że zawsze. Tymczasem dęby zadrżały nagle, zaszeleściły liśćmi i posypały deszczem żołędzi. Następnie Dżak poradził mi, abym rozpuścił węzły lasso, na którem uwiązany był mustang, albowiem zwierzę, szarpiąc się w czasie wichru, mogłoby się zadusić. Gdym się do niego zbliżył, ujrzałem, iż szerść była na nim poszerszeniała, głowę miał spuszczoną, nozdrza przy ziemi. Rozluźni-

łem pętlicę aż zanadto. Wracając, ujrzałem tłumy rozmaitego ptactwa, dążącego do skłonów gór i z parowów ku puszczy: więc stada różowych synogarlic, kuropatw zwyczajnych, kuropatw górskich, błękitnych płaszczów, przedrzeźniaczów, czarnych dzięciołów z kanarkową piersią i szkarłatną głową. Szare bażanty smyrgały na piechotę tak niedaleko naszej chaty, że można je było z okien strzelać. Nad lasem krążyły orły i kurki, ale zapadały co chwila w gęstwinę, siadając zapewne na dobrze okrytych liściem gałęziach. Wreszcie ucichło wszystko: tuman zgęstniał, światło słoneczne stało się jeszcze bardziej gorączkowe, a potem uderzył pierwszy powiew.

Zdawało mi się, że jakieś potworne płuca chuchnęły nagle na mnie gorącym oddechem. Obaj z Dżakiem schroniliśmy się natychmiast do chaty i pozasłaniawszy kocami okna, położyliśmy się na mchu. Ale w chacie zrobiło się gorąco nie do wytrzymania. Dostałem lekkiego zawrotu głowy; krew jakby ołowiem biła mi w żyłach. Próbowałem czytać i nie mogłem. Było mi duszno. Elektryczność, przesycająca powietrze, podziałała tak na moje nerwy, że miałem ochotę pokłócić się z Dżakiem. Próbowałem

pić, ale woda, stojąca w blaszance w kącie chaty, wydała mi się obrzydliwą; chciałem nakoniec palić: tytuń po kwadransie wiatru wysechł do tego stopnia, że rozsypywał się w proch w moich palcach.

Dżak, przywykły już do tego wiatru, znosił go daleko lepiej, a mnie tymczasem coraz było trudniej. Pojedyńcze uderzenia powiewów zmieniły się w trwały huragan. Puszcza gięła się, dęby łopotały gałęziami; w powietrzu zaś unosiło się takie mnóstwo liści i piasku, że niepodobna było nic dojrzeć. Przeklęty ów wiatr zmienił się w końcu po prostu w żar, buchający jakby z rozpalonego pieca i przepełniony czadem. Dżak przyniósł mi świeżej wody ze strumienia, którą piłem łapczywie, ale gdy nadeszła pora posiłku, jeść nic nie mogłem. Zresztą ani w południe, ani na wieczór nie paliliśmy w parowie ognia, albowiem wiatr rozwiałby był ognisko na cztery strony świata, a co gorsza, mógł ponieść skry na puszczę i spowodować pożar lasu.

W nocy nie mogłem zmrużyć oka. Na drugi dzień wiatr, zamiast uciszyć się, wiał jeszcze gwałtowniej. Drzewa trzeszczały, a połamane gałęzie waliły się w potok. Przez cały ten czas

nie było ani chmurki na niebie. Wychodziłem z chałupy tylko po to, aby koniowi dać jeść. Cierpiałem nieznośne męki. Ale na trzeci dzień, świtaniem, a może jeszcze w nocy, ucichło wszystko.

Wyszedłszy z chaty, odetchnąłem głęboko. Powietrze było chłodne, ożywcze, błękit niebieski czysty. Łagodny wietrzyk pociągał od oceanu. Na wschodzie płoniła się, jak dziewczyna, różana zorza poranna. Uśmiechało się wszystko naokół. Spojrzałem po okolicy i... zakląłem, jak pierwszy lepszy majtek z Landing.

Nie było mojego konia.

Przy drzewie zwieszało się smutne lasso. Koń widocznie wysunął w czasie wiatru głowę ze zbyt obszernej pętlicy i uciekł.

III.

Złożyliśmy z Harrysonem wielką radę wojenną.

Koń, wysunąwszy się z pętlicy, mógł zejść tylko do parowu, bo innej drogi nie było. Natomiast parowem mógł udać się albo na wschód ku Bernardynom, w którym to razie nietrudnoby go było odnaleźć, albowiem potok w górze

jest nie do przebycia, albo na zachód ku Anaheim.

W tym ostatnim wypadku sprawa byłaby trudniejszą z powodu, iż potok w miarę spadku rozszerza się, a canion staje się coraz obfitszy w obszerne, pokryte lasem doliny. Myślałem także przetrząsnąć puszczę, wśród której stała nasza chata, ale Dżak upewnił mnie, że tak wielkie zwierzę jak koń nigdy nie zdołałoby przeniknąć w gęstwinę równie zbitą i poplątaną lianami. Jakoż tak było w istocie.

Wogóle przychodziło wątpić, czy opłacało się szukać konia. W nocy mogły go zjeść drapieżne zwierzęta, bądź kuguary, bądź ostrowidze. Mogli go także skraść Meksykanie. Szukanina wymagała wielu trudów, a pod pewnym względem była nawet niebezpieczna. Ale przywiązałem się już do mego wierzchowca i postanowiłem, nie zważając na nic, pójść w jego ślady.

Zresztą po skończeniu chaty, nie mieliśmy z Dżakiem wiele do roboty, zaraz więc po brekfeście zajęliśmy się przygotowaniem do wyprawy. Niewiadomo było, jak ona długo potrwa, każdy z nas więc wziął mały zapasik sucharów i suszonego mięsa, a oprócz tego każdy uzbroił się, jak gdyby na wojnę w karabin, re-

wolwer i «bowie-knife», nie licząc lassa, które miało służyć do odprowadzenia konia.

Tak uzbrojeni, poszliśmy przedewszystkiem pod drzewo, aby odnaleźć choć jakie takie ślady. Na trawie było ich bardzo wiele: wyrobiła się z nich jakby ścieżka, ale była to tylko ścieżka, którą prowadzałem konia do wody. Oko moje nie mogło nic z niej wyczytać. Dżak jednakże położył się na trawie i, popatrzywszy na nią uważnie, wykrzyknął wkrótce obyczajem indyjskim:

— *Hugh!*

Znalazł, a przynajmniej utrzymywał, że znalazł świeży ślad, chociaż ja nie mogłem upatrzyć w nim różnicy od starych. Koń szedł, jakeśmy to przewidywali, do potoku. Dalsze ślady, zbaczające ze ścieżki, wskazywały to wyraźnie. Koń mógł pójść w górę potoku, albo na dół ku Anaheim. Trzeba nam było się z Dżakiem rozstać.

Wybrałem kierunek ku Anaheim, bo jakkolwiek drogę tę odbyłem z Neblungiem w nocy, przecie pamiętałem ją cokolwiek. Świsnąłem na psa i, zapaliwszy fajkę, poszedłem. Ranek po wietrze był cudowny. Powiew od strony oceanu niósł z sobą wilgoć i chłód. Ptaki śpiewały po

obu stronach parowu, jak najęte. W miejscach szerszych, gdzie korytarz skalny roztwierał się, ustępując miejsca dolinom, przystępne brzegi strumienia wrzały życiem zwierzęcem. Ptaki piły wodę. Czarne wiewiórki ziemne siedziały na tylnych łapkach, chrupiąc orzeszki laurowe i poruszając wąsikami. Pies mój szczekał z radości, a echo niosło daleko szczekanie, nadając mu dziwnie potężny rozgłos. Byłato chwila poranna, chwila tej radości i rozbudzenia się natury, w której drzewa, i kwiaty, i ptaki, i wszystko co żyje zdaje się wołać: «Ewoe! radujmy się i kochajmy!» W takiej chwili starcowi nawet przechodzi ogień życia przez zziębłe kości, a u młodego aż kipi dusza i prawie skrzydła wyrastają mu u ramion.

Mniej więcej w takiem byłem usposobieniu. Coraz nowe doliny, nowe kształty skał, nowe drzewa migały mi przed oczyma. Cała droga, ponieważ poprzednio przebyłem ją w nocy, wydała mi się nową i nieznaną. Jedna szczególniej miejscowość została mi w pamięci. Dolina ta, obejmująca z jakie dwie mile kwadratowe (angielskie), nie była zarośnięta tak zbitą i poplątaną puszczą, jak inne. Byłto poprostu ogród wersalski na pustyni, strojny w tak cudowne

bukiety drzew i krzewów, jakby je układała ręka ogrodnika-artysty. Ciemne, śliczne dąbrowy i małe rozrzucone wdzięczne gaiki platanów pokrywały większą część przestrzeni; laury układały się w regularne klomby; pojedyńcze drzewa tworzyły jakby aleje, których końca nie mogłem dojrzeć. Niepodobna było prawie uwierzyć, aby to natura układała wszystko tak misternie i foremnie. Środek doliny, lekko zaklęsły, pokryty był trawą, o zieloności jasnej i świeżej, zdradzającej wilgoć gruntu. Wysoko rosnące tam krzewy znikały zupełnie dla oka pod skrętami dzikiego winogradu, dochodzącego do olbrzymich rozmiarów. Złudzenie, że są to poprostu sztuczne altany, było tak silne, że pierzchło dopiero wówczas, gdym, zbliżywszy się do jednej z nich, dojrzał wyskakującego z pod liści szarego, czarno centkowanego żbika.

W żadnych górach europejskich niema nic podobnego. Natura wysiliła się tu, aby stworzyć przepyszny park z całym wymagalnym doborem barw i cieniów, z misternym układem szczegółów, z odpowiednią perspektywą i z mądrym namysłem, tak łudzącym, iż mimowoli patrzyłem i szukałem, czy z pośród ciemnej zieloności drzewnej nie błysną mi z oddali białe marmury

jakiego pałacu, ze zwierciadłami w szybach, ze strojnemi damami na gankach, z jeziorem u stóp i z łabędziami na błękitnej toni [1]).

Ale okolica była bezludna, milcząca, a ciszę przerywało tylko brzęczenie wielkich złotych much, za któremi uganiały się ptaki. Oczarowany, szedłem bardzo wolno i zatrzymywałem się co chwila. A tymczasem słońce podniosło się wysoko i poczęło dogrzewać. Wyszukawszy wzgórek pokryty mchem, położyłem się pod cieniem dębu, zjadłem kawałek suchara z suszonem mięsem, a następnie, poleciwszy straż psu, usnąłem.

Spałem tak dobrze, że rozbudziłem się dopiero koło godziny czwartej. Słońce przebiegło już większą część zwykłego łuku i skłoniło się ku zachodowi. Poznałem, że przed nocą nie będę

---

[1]) Później dowiedziałem się, że śliczna ta miejscowość, jakkolwiek jeszcze bezludna, ma już swoją nazwę, nazywa się zaś »Pic-nic-Place«, albowiem mieszkańcy Anaheim, Orange, Santa-Ana, wraz z okolicznymi fermerami, zjeżdżają się tu raz do roku na wielką zabawę. Ziemia Pic-nic-Place również nie należy już do rządu, ale do jednej z licznych w Kalifornii Landcompany, posiadającej ogromne, a zupełnie jeszcze dzikie i bezludne obszary. Od Pic-nic-Place zaczynają się terytorya niezajęte, rządowe.

mógł już zajść ani do osad pasterskich, leżących u stóp gór na drodze ku Anaheim, ani też wrócić do chaty Dżaka. Wolałem jednak nocować bliżej osad i dlatego poszedłem naprzód. Park skończył się wkrótce, a amfiteatr czerwonych skał zacieśnił się znowu w wązką i ciemną gardziel. Przy samem wejściu do niej spotkałem jeźdźca, starego jakiegoś Meksykanina, o czarnych podobnych do końskiej grzywy włosach i złodziejskiej twarzy. Zaczęliśmy z sobą rozmowę, wedle obyczaju meksykańskiego niezmiernie grzeczną, tytułując się jak można najczęściej: *usted i caballero.* Wypytywałem się o konia, na co *caballero,* mający mówiąc nawiasem, minę ostatniego rzezimieszka, odpowiedział, że konia nie widział, ale że widział ślady szarego niedźwiedzia, czemu zresztą ani na chwilę nie uwierzyłem. Poczem z prawdziwie meksykańską uprzejmością, przepraszając za śmiałość *de hacer cuestion,* począł wypytywać: co robię w górach, czy mam tu jakich znajomych i gdzie mieszkam. Może chciał się wywiedzieć, czy będzie mógł bezkarnie rzucić na mnie lasso, w chwili gdy się od niego odwrócę, aby zrabować moją broń. Ale ja także dosyć już znałem Meksykanów, i mimo wszelkich *usted,* trzymając palec

na cynglu, gotów byłem roztłuc na kawałki czaszkę drapichróstowi, skorobym tylko spostrzegł, że poczyna odwiązywać sznury. Nie bałem się go wcale i rozmawiałem z nim po prostu drwiąco, co go nawet mieszało, a byłem jednak zdecydowany niepierwej pójść w drogę, aż uprzejmy rycerz oddali się na kilka rzutów lasso. Ale jak tylko powiedziałem, że mieszkam u Harrysona, ostrożność stała się zbyteczną. Caballero wpadł w zachwycenie: powiedział, że zna Dżaka, że jest to znakomity *(considerable)*, a nawet wielki *(grande)* człowiek, a jego przyjaciele muszą być tacy sami, poczem pojechał przed siebie. Widocznie Dżak miał w górach opinię wzbudzającą poszanowanie. Ale wogóle skłonni do rabunku meksykańscy «caballerowie» niezmiernie boją się skwaterów, z powodu ich solidarności. Za jednego zamordowanego skwatera, inni, chociażby zamieszkali bardzo daleko, ujmują się natychmiast i póty tłuką wszystkich napotkanych Indyan i Meksykanów, póki ci ostatni sami nie wydadzą winnego.

O tej dziwnej pod wielu względami ludności rozpiszę się później obszernie; teraz zaś nadmienię, że winnemu nie tak łatwo tu ujść przed lynchem; jeżeli bowiem łotrzykowie zabi-

jają i rabują człowieka, to nie dlatego, aby uciekać następnie na pustynię, ale aby pić i hulać w najbliższych wentach [1]), gdzie ich też zwykle straszliwy *uncle lynch* odnajduje.

Zabójstw z tych powodów bywa niewiele, jakkolwiek rozproszenie, w jakiem żyją skwaterowie, zapewnia pozorną przestępcom bezkarność. Że jednak ostrożność najlepszym jest przewodnikiem i stróżem podróżnych, nieprędzej tedy ruszyłem w dalszą drogę, aż uprzejmy caballero oddalił się na dobry wystrzał karabinowy. Potem dolatywała mnie tylko jego piosenka i wtór do niej, polegający na uderzaniu trzonkiem noża w kulę kulbaki. Uszedłem jeszcze ze cztery mile (angielskie), ale wreszcie słońce zaszło; że zaś w tym klimacie zmierzch bywa bardzo krótki, więc i noc następowała szybko. Żałosne zwiastuny ciemności, kujoty, ozwały się już raz i drugi w pokrytych lasem dolinach, pies zaczął się niepokoić, trzeba zatem było myśleć o noclegu. Korzystając z resztek światła, naciąłem cztery naręcza suchych jak pieprz krzewów, znanych pod nazwą czaparalu i cza-

[1]) Wenta znaczy karczma, tienda zaś to, co nasza restauracya.

mizalu, nazbierałem suchych, połamanych przez Santa-Ana-wind gałęzi, których pełno było w łożysku potoku, i wybrawszy stosowne miejsce między kamieniami, rozniecilem ognisko.

Przez całą noc spałem mało, bo musiałem co chwila dorzucać gałęzi, aby podtrzymać ogień. Rozmaite głosy zwierzęce dochodziły mnie, jak zwykle nocą, ale niewiele sobie z nich robilem, mając przed sobą jasny płomień, czujnego psa i dobry karabin. Przytem kuguar i niedźwiedź, jedyne groźne zwierzęta, nie są tu liczne i nie napadają nigdy pierwsze na ludzi, nie było więc żadnego niebezpieczeństwa. Swoją drogą, pies odlatywał co chwila od ogniska i niknąc w ciemnościach, ujadał głośno. Świtaniem puszcza ucichła. Wówczas usnąłem jak kamień i dopiero o godzinie dziewiątej puściłem się w dalszą drogę. Może o jakie kilkadziesiąt kroków od noclegu, spotkałem małego grzechotnika, pełznącego od jednego kamienia ku drugiemu. Grzechotka jego składała się z pięciu dzwonków. Idąc dalej, doszedłem do miejsca, w którem po obu brzegach strumienia ciągnął się pas niezmiernie delikatnego piasku, pomieszanego z żółtą miką. Raz już nad rzeką Bosumnes (Macosme), w okolicy Sacramento, oszukała mnie ta

mika, albowiem spostrzegłszy całe jej zaspy, sądziłem, żem znalazł takie bogactwa, iż Rotszyldom nie pozostanie nic więcej, tylko pójść do mnie na buchalterów. Patrzyłem, pamiętam, wówczas i nie wierzyłem oczom własnym: cały brzeg rzeki lśnił się i mienił, promienie słoneczne łamały się na większych blaszkach: wszędzie było złoto i złoto. Można je było furami wywozić. Szczypałem się sam, aby się przekonać, czy nie śpię, i nabrawszy pełne kieszenie moich dostatków, pobiegłem do kapitana W., naszego rodaka, u którego właśnie bawiłem, aby podzielić się z nim, jako z doświadczonym górnikiem, wiadomością, wejść w spółkę i zrobić kilkadziesiąt skromnych miliardów w ciągu kilku miesięcy. Więcej sobie wcale nie życzyłem. Czytelnik domyśli się łatwo, jaką musiałem mieć minę, gdy stary górnik roześmiał się i potrząsając na ręku skarbem moim, rzekł krótko a węzłowato: «Mika». Swoją drogą powiem, że choćby podróżnik, przebiegający góry i stepy Kalifornii, był nie wiem jakim filozofem, przecie myśl, że w pierwszej lepszej szparze ziemnej, w pierwszym lepszym stosie kamieni można tu znaleźć skarby, nie opuszcza go ani na chwilę. Mimowoli poglądasz, czy cza-

sem z łożyska jasnego strumienia lub ze szpary skalnej nie wyjrzy na ciebie potężna, przedpotopowa żyła żółtego kruszczu. Co większa, niema w tem nic niepodobnego. Na pytanie, gdzie w Kalifornii znajduje się złoto, każdy bez wahania odpowiada: wszędzie! Prawda, miejscami jest go tak mało, że przemywanie dwakroć i trzykroć przeniosłoby wartość metalu, ale, swoją drogą, weź kilkanaście fur ziemi i puść je w płóczkarnię, a żywe srebro, chwytające złoto, niezawodnie uchwyci pewną ilość jego atomów.

Ciekawy przykład owej zmory złotej, duszącej tu wszystkich, miałem niedawno przed oczyma. Pewnego razu, ja, jeden mój ziomek zegarmistrz, od niedawna osiadły w Orange, i jeden skwater, zwiedzaliśmy osadę, położoną nad brzegiem niewielkiego strumienia. Po nocy spędzonej na wozie, ziomek mój poszedł się myć do strumienia. Po chwili wrócił nagle: twarz jego była wzburzona, a na głowie nie miał kapelusza.

— Co panu jest? — pytam, sądząc, że może ujrzał jakie niebezpieczne zwierzę.

— Cicho! — odpowiada, kładąc palec na usta i przerywanym ze zmęczenia głosem.

— Cóż tedy?

— Złoto!

— Gdzie?

— Pójdź pan zobaczyć.

Poszedłem, choć nie uwierzyłem w nie ani na chwilę, gdyby się bowiem tam znajdowało, mieszkańcy osady znaleźliby je oddawna. Przybywszy na brzeg, towarzysz mój ukazał mi niewielki okrągły kamień, na którego powierzchni połyskiwała żółta, metaliczna kresa. Wtedy uwierzyłem i ja, i dalej w radę, czy przypuścić do tajemnicy trzeciego. Stanęło, żeby przypuścić, bo człowiek był porządny a wytrawny. Jakoż przyszedł zaraz i objaśnił nas, że owa żółta metaliczna kresa była poprostu śladem podkutych mosiężnymi ćwiekami trzewików, jakich zwykle używają fermerowie.

Podobne rozczarowania, a szczególniej z miką, zdarzają się tu codziennie, tembardziej, że jej tu wszędzie pełno. Widziałem jej mnóstwo na pobrzeżach oceanu w A-Landing, Wilmington i wielu innych miejscach. Strumienie górskie powszechnie niebardzo w nią obfitują; tam jednak, gdzie brzeg jest piaszczysty, osadza się zawsze trochę i miki.

Ta, którą znalazłem przy strumieniu, osa-

działa się szczególniej w dołkach, wytłoczonych przez nogi zwierząt. Szukałem między tymi śladami śladów kopyt mego konia, ale znalazłem tylko mniej więcej zatarte wyciski racic jelenich i płytkie, ale szerokie tropy okrągłych stóp, należących zapewne do ostrowidzów. Zaczynałem wątpić, czy koń mój przechodził tędy, i przez chwilę przyszła mi myśl wrócić się, ale dla pewności chciałem jeszcze zapytać o niego w osadzie pasterskiej, leżącej u stóp gór, poszedłem więc dalej. Tymczasem zaszła niespodziana okoliczność. Oto strumień, którego biegu się trzymałem, trafiał nagle na prostopadłą skałę i rozdzielał się na dwa ramiona, tworząc z głównem korytem dokładną literę Y. Nie wiedziałem, które ramię zaprowadzi mnie teraz do podgórzy i na drogę do Anaheim. Zdawało mi się, że lewe, wybrałem więc lewe. Ale gdym uszedł ze trzy mile, to lewe znowu rozdzieliło się na dwa. Widocznie była to sieć strumieni, które obejmowały dość znaczną przestrzeń gór, a następnie, wydostawszy się z nich, biegły przez dolinę anaheimską i dalszy step ku oceanowi. Poznałem, żem zbłądził. Wszedłem w caniony tak dzikie, milczące i głuche, że przychodziło

mi na myśl, iż może noga ludzka pierwszy raz w nich postała.

Brzegi strumienia, tam, gdzie nie były zaciśnięte skałami, porastały gęstym lasem. Pnące się rośliny zwieszały się aż do wody, a przerzucając się z brzegu na brzeg, tamowały mi tak drogę, że musiałem ją sobie nożem torować. Wszystko to nosiło cechę natury arcy pierwotnej. Zdawało mi się nawet, iż ptaki mniej się tu boją człowieka, niż w innych canionach. Był tam jakiś spokój, którego nie umiem ani opisać, ani wyrazić; jakaś powaga i majestat przyrodzenia nieczującego się jeszcze podbitem. Jakoż wszystkie pomniejsze caniony nie są zamieszkane i w wielu z nich prawdopodobnie nikt jeszcze nie był.

Tymczasem szedłem ciągle naprzód, niewiele troszcząc się o to, żem się zbłąkał. Wiedziałem, że każdy strumień wyprowadzi mnie koniec końców na podgórze, a następnie na dolinę, na której leżą Anaheim, Santa-Ana, Orange i t. d. Jakoż, zaraz po południu, począłem się wydostawać z labiryntu gór. Szczyty po obu stronach strumienia stawały się niższe i niższe; korytarz skalny zmieniał się w obszerną doli-

nę, krajobraz otwierał się coraz szerzej. Wreszcie zatrzymałem się i spojrzałem przed siebie.

Góry skończyły się. Stałem jakoby na olbrzymim, wysokim na jakie dwieście stóp tarasie. Strumień spływał z niego po tak stromej pochyłości na dół, że tworzył prawie wodospad. U stóp tarasu widniał dom fermerski, bielejący wśród masy drzew gumowych [1]); tam zaczynała się dolina anaheimska, a raczej step szeroki, powietrzny, przestrony, biegnący aż do brzegów oceanu.

Oparłszy się o karabin, patrzyłem nieruchomo z pół godziny na ową cudną dolinę. Na krańcu widnokręgu szarzała niby mgła, niby chmura jakaś sina, ale rozświecona purpurą zachodu. Był to «Pacyfik», ojciec oceanów i mórz wszystkich. We wzgórzach, sterczących nad tumanem, poznałem wyspy Santa-Catalina i Catalina Harbor, które zwiedzałem, bawiąc jeszcze w Landing. Był zachód słońca, a nad oceanem rozlewał się drugi ocean purpury i złota na niebie. Na dolinie, ubranej w królewskie kolory, ujrzałem naprzód suche, piaszczyste a szerokie

[1]) Eukaliptów.

łożysko równoległej do gór rzeki Santa-Ana [1]). Dalej ciemne grupy drzew oznaczały Anaheim i Orange, a mniejsze grupy fermy rozrzucone po całym stepie. Wszystko to leżało u moich nóg. Patrzyłem na wioski i miasta, jak ptak z chmur. Powietrze tak było przezroczyste, że ten ogromny szmat kraju leżał widny dla mego oka, jak na dłoni. Cisza była prawie niepokalana. Śliczny, pogodny zachód zdawał się nasycać wszystko nieporównaną słodyczą i różanym spokojem. Błogosławieństwo i uspokojenie wielkie unosiło się nad krajem... Wówczas wezbrało mi serce, a na usta wybiegła mimowoli znana smutna piosnka:

»U nas inaczej! inaczej! inaczej!«

Słońce już zaszło, gdy zapukałem do drzwi domu położonego u stóp tarasu. Pokazało się, że mieszkał w nich Mitchel, właściciel stad krowich, a dobry mój znajomy jeszcze z Anaheim. Mitchel przyjął mnie gościnnie i dał wyborne łóżko, które, po nocy spędzonej na kamieniu w górach, wydało mi się niezrównanem.

---

[1]) Nazwa ta Santa-Ana powtarza się w tej okolicy z dziwną obfitością. Prócz Anaheim jest tu Santa-Ana rzeka, miasto, góry i wiatr.

Nazajutrz, skoro świt, puściłem się z powrotem w góry.

IV.

Dżak, posłyszawszy, że się zbliżam, wyszedł naprzeciw mnie bardzo uradowany. Koń był już z powrotem. Dżak znalazł go o dziesięć mil w bok od naszego strumienia, w bocznym canionie, gdzie była osada skwaterska niejakiego Plesenta, Luizyańczyka, jak i Dżak. Dżak opowiadał mi o nim, że jest to prawdziwy król gór, trzęsie bowiem wszystkimi Meksykanami, zamieszkującymi okolicę. Do wpływu takiego doszedł przez swoje bogactwa w pszczołach, trzodach, ale głównie przez żonę, rodem Meksykankę, kobietę tak rozumną, że słowa jej są wyrocznią, tak dla męża, jak i dla wszystkich czarnowłosych jej kuzynów. Dżak zaproponował mi, abym razem z nim wybrał się do nich, na co zgodziłem się chętnie i uważając rozmowę za skończoną, chciałem wyjść do konia. Ale Dżak widocznie miał mi jeszcze coś do powiedzenia, bo mnie zatrzymał, a potem począł gęsto pykać z fajki i mrugać figlarnie oczyma.

— Cóż tam jeszcze nowego, Dżak? — spytałem.

— Hm! hm! — mruknął.

— Chcecie mi jeszcze coś powiedzieć?

— Tak. Czy bardzo czujecie się zmęczeni?

— Trochę; a dlaczego?

— Bo do Plesenta trzebaby jeszcze dziś iść na noc.

— By God!

— Widzicie, sir, jest rzecz taka. U Plesenta bawi teraz przeszło piętnastu jego krewniaków, Meksykanów, a wszyscy z lassami, konno i zbrojno. Powiem wam, że wszystko to są wielkie szubrawcy (hoodlamy), i mniejszaby o nich, ale czy wiecie, dlaczego się pozjeżdżali? Oto Plesent znalazł na piasku, nad swoim strumieniem, ślad szarego niedźwiedzia, a potropiwszy go dwa dni, przekonał się, że: «uncle grizzly» obrał sobie legowisko nie dalej, niż dwie mile w górę potoku.

— *All right!* Dżak! — przerwałem pośpiesznie.

— Plesent więc wysłał zaraz do Meksykanów starego Ramona, aby się pozjeżdżali na wyprawę, co też i uczynili. Przywieźli z sobą wina, które piją bez ustanku, prócz tego grają w karty i wychwalają wzajemnie swoją odwa-

gę, choć, by God! jak przyjdzie co do czego, będą tchórzyli niezawodnie. Stary Ramon był i u mnie, ale ja właśnie tropiłem wtedy waszego konia. Oprócz nas, Plesent czeka jeszcze dwóch braci Shrewsburych. Jutro świtaniem mamy zacząć. Czy zgadzacie się iść ze mną?

Naturalnie, nietylko zgodziłem się, alem mało nie uściskał Dżaka z radości; następnie wyczyściliśmy broń, opatrzyli wszystko jak się należy i we dwie godziny później wyruszyliśmy w drogę.

KONIEC TOMU PIĄTEGO.

F-L. 30 11-54

LP
S5724

Sienkiewicz, Henryk
Pisma.
v.5

486079

University of Toronto
Library

DO NOT
REMOVE
THE
CARD
FROM
THIS
POCKET